

kantorkowe
swawole 4

królestwo
za wieprzka 8

świat
urwany ze
smyczy 6-7

Borynowie
-hodowcy 12

w 63
rocznicę 14

KONTAKTY

ŁOMŻYNSKI TYGODNIK SPOŁECZNY • PISMO PZPR

47

(74)

KONTAKTY

29.XI.1981

Cena 6 zł



Fot. GABOR LORINCZY

Polski
dylemat

oranie nieba

FRANCISZEK
PIĄTKOWSKI

Żaden proces społeczny nie da się włożyć w precyzyjne daty, nie da się zadekretować. Nie można stwierdzić, że w tym oto dniu stało się to a to, i od tego czasu zaczęła się zmieniać rzeczywistość, po czym wyrysować wektory tych zmian. Nie ma tu prostej implikacji: jeżeli a to b, jeżeli b to c itd. Dlatego unikam prognozy społecznej; nie chcę orzekać, co się stanie, bowiem byłaby to futurologia oparta na aktach wiary.

nadzieje i
zwątpie-
nia

STR. 3

BEZ PARDONU

Łabędź w sztukowanej koronie

Do publicznego konfesjonatu — spotkania z cyklu „Bez pardonu” zaprosiliśmy władze miasta i gminy Wysokie Mazowieckie: Józefa Chrzanowskiego — naczelnika UMiG, Stanisława Żebrowskiego — I sekretarza KMiG PZPR, Edwarda Szafrankowskiego — prezesa Okręgowej Spółdzielni Mleczarskiej, Stefana Dobeckiego — dyrektora Rejonowego Zakładu Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniowej, Mariana Kazana — prezesa Spółdzielni Mieszkaniowej, Władysława Samelko — prezesa GS „Samopomoc Chłopska”, Zbigniewa Kaczanowicza — dyrektora SKR-u, Teklę Pietrzak — prezesa Oddziału WSS „Społem”, Jana Dąbrowskiego — dyrektora ZOZ-u, Stanisława Bożuchowskiego — dyrektora Domu Kultury, Janusza Bancarzewicza — komendanta posterunku MO. W roli spowiednika wystąpiła, licznie przybyła na spotkanie, społeczność Ziemi Wysokomazowieckiej, redakcję reprezentowali: Nina Omelczenko, Stanisław Zieliński, Gabor Lőrinczy i Wawrzyniec Kłosiński.

SKĄD NAS ZAWIEJE

BARBARA KRASOWSKA: — Jak gospodarz miasta widzi przetrwanie zimy; by nas nie zawiało od Czyżewa, Łomży, Szepietowa; by dzieci mogły spokojnie dojechać do domu i szkoły. Brakuje środków czyszczących, dezynfekcyjnych, zakład oczyszczający miasto odmawia nam podstawowych usług, a przecież nie możemy dopuścić do zagrożenia epidemią i do tego, żeby myszy, karaczany, zjadły nas i zboże w magazynach.

JÓZEF CHRZANOWSKI: — Niestety, sami w gminie nie rozwiążemy wszystkich problemów związanych zimą. Nie zwalczymy całkowicie gołoledzi, bo brakuje akumulatorów, ogumienia, soli. Mimo tych niedostatków jesteśmy w stanie utrzymać przejezdność dróg do szkół, punktów skupu, sklepów. Opału otrzymaliśmy 9,5 tysiąca ton, a potrzeba dla miasta i gminy 15 tysięcy. Indywidualni odbiorcy otrzymają przynajmniej połowę przydziału. Spółdzielczość mieszkaniowa i ciepłownictwo są zaopatrzone do końca roku; jeżeli na początku przyszłego dostawy będą rytmiczne, to nie grozi nam przerwanie ogrzewania.

STEFAN DOBECKI: — Epidemia jest prawdopodobna, bowiem mamy za mało samochodów do wywożenia śmieci, smarów itp.

ZBIGNIEW WOJTKOWSKI: — Z węglem trudności, ze środkami piorącymi trudności. Kładzie się mokre ubranko dziecka na kaloryfer i nie wiadomo: wyschnie czy nie, bo w nocy często wylacza się centralne ogrzewanie. Ale nie wszystko da się

CIĄG DALSZY NA STR. 8-9

IX SESJA WOJEWÓDZKIEJ RADY NARODOWEJ obradowała w Łomży. Przewodniczący WRN poinformował o mianowaniu przez Prezesa Rady Ministrów Eugeniusza Mioduszeńskiego sekretarza WK ZSL oraz Zdzisława Truszkowskiego prezesa Wojewódzkiej Spółdzielni Mleczarskiej na stanowiska wicewojewódów. (Szczegóły w następnym numerze).

ABY POROZUMIENIE Z DNIA 22.10.81 r. między wojewodą Jerzym Zientarą a NSZZ „Solidarność” nie zamieniło się w nieporozumienie, 17.11.81 r. odbyło się spotkanie przewodniczącego łomżyńskiej „Solidarności” Mariana Chojnowskiego z wojewodą. Oceniono stopień realizacji ośmiopunktowych ustaleń. I tak: rozpoczęto ubój i przerób żywca w masarniach na terenie województwa (pkt 5); oddziały „Solidarności” otrzymały imienne upoważnienia do dokonywania kontroli (pkt 2); wojewoda polecił dokonać przeglądu maszyn i urządzeń we wszystkich jednostkach gospodarki uspołecznionej i zbudowy sprężet odprzedać rolnikom legitymującym się dostawą żywca do państwowych punktów skupu w ilości odpowiadającej cenie wywoławczej sprzętu (pkt 3); wobec niemiłych poczynań, zmierzających do przeprofiliowania produkcji na rzecz rolnictwa (pkt 4), wojewoda imiennie wskazał zakłady, które mają tego dokonać, wskazując jakie jest zapotrzebowanie wsi, i na jaki sprzęt. (NSZZ RI „Solidarność” zgłasza pretensje, że wojewoda nie konsultował tego ze związkami rolników, gdyż chłop najlepiej wie: ile i czego potrzebuje). Pozostałe do realizacji punkty to poprawa jakości wędlin i chleba do dnia 30.11.81 r.; zapewnienie pełnego mleka dzieciom do lat 10 oraz przekazanie nieczynnych młynów poprzednim właścicielom (dlaczego nie dla każdego chętnego, jeżeli poprzedni właściciel się nie zgłosi?). Ostateczny termin przemienienia liter Porozumienia w realne fakty — 30 listopada; a więc tuż, tuż.

PIERWSZY OKRES DZIAŁALNOŚCI zakończyły Terenowe Grupy Operacyjne. Wyprostowało się wiele dróg i zawiłych ścieżek do gminnych urzędów, szlaków dostaw towarów do wiejskich sklepów z masarni i geosowskich magazynów. Zmienił się jakby porządek na eskaerowskich polach.

W jednym ze śniadowskich sklepów znaleziono na zapleczu spore zapasy poszukiwanych towarów, a chomika — sprzedawczynię podano do kolegium. Mogłaby tę sprawę załatwić zwyczajna kontrola handlu, lecz Terenowa Grupa Operacyjna uczyniła to szybciej, bez oglądania się na szkodliwość zwłoczenia dotychczasowych układów; natychmiast, z iscie wojskowym temperamentem i uwzględnieniem społecznych racji.

W sklepie w Wygodzie GS przysmierzyl się do rzetelnego remanentu, ale zapominał, że w tym czasie mogą skamienieć dostawy chleba i zjeleć masło. Pomyśleć musiała o tym Terenowa Grupa Operacyjna.

W SKR-ze w Stawiskach członkowie TOP zapoznali się z ciężkimi warunkami pracy zalogi: brakiem części zamiennych, akumulatorów, olejów, ale nawet te potworne niedostatki nie uchroniły od określenia przez ludzi w mundurach zastanej sytuacji mianem niedbalstwa, braku gospodarskiej troski i choćby odrobiny inwencji. Oto kombajny przeznaczone do remontu i te sprawne tonęły w błocie, porzucone jak zwycajne graty. Po interwencji pracowników SKR-u uświadomili sobie, że rzeczywistość z błota można je oczyścić, a i zakonserwowanie na zimę też jest wykonalne.

Podobnie było w dziesiątkach, jeśli nie setkach podobnych spraw: pod baczny okiem żołnierzy możliwe stawały się starania o zabezpieczenie materiałów w magazynach, składnicach maszyn; odetchnęli z ulgą mieszkańcy wsi, umocnieni w przekonaniu, że to, co jest, rzeczywistość dzieli się sprawiedliwie. Nie mówiło się: przyjdzie jutro, pojutrze, tylko załatwiano od ręki. Tak było nawet przy bardzo drażliwych problemach, jak: przydział materiałów budowlanych, maszyn rolniczych.

W gminie Łomża, w ostatni dzień działania Terenowych Grup Operacyjnych drzwi do Urzędu się nie do-

mykały. Rolnicy szli ze wszystkimi dolegliwościami. Rzecz znamienna: rzadko który zwracał się do naczelnika, a w pierwszej kolejności do dowódcy Grupy, ppłka Floriana Wójcika oraz jego podwładnych: kpt. Mariana Przybyłowicza i sierż. pchor. Wiesława Sołowaja. Świadczy to o dużym zaufaniu do ludzi w mundurach. W ten sposób, choć obok siedziała głowa gminy, czynili ich rzecznikami swoich spraw. Odczucie to pokrywało się ze słowami płka Józefa Krawczyka, który — dokonując podsumowania działania Grup w województwie — wymienił problem znieczulicy społecznej, zarówno w środowiskach wiejskich, jak i w miastach, jako problem nr 1. Zetknęła się też z nim Terenowa Grupa Operacyjna, obsługująca gminę Łomża: Stefan Modzelewski mieszka we wsi Wygoda w kompletnej ruinie, chociaż zwracał się z prośbą o pomoc, ciągle były ważniejsze sprawy; wdowa z pięciorgiem dzieci w Lutyńsku też ma sporo kłopotów materialnych. Zegnając się z gminą dowódcą Grupy wymienił te sytuacje jako najpilniejsze do załatwienia. Jednocześnie polecił naczelnikowi zainteresować się szczególnie porządkiem w SKR-ze, zabezpieczeniem maszyn rolniczych na zimę, przepływem towarów z magazynów do punktów sprzedaży (bo dzieją się ponoć z nimi rzeczy zupełnie obce sprawiedliwości).

Minęło zaledwie kilka dni od wyjazdu Terenowych Grup Operacyjnych z łomżyńskiego, a już niektórzy radzi by powrócić do starych metod. Boją się jednak, bo wiadomo, że „porządkowicze” w mundurach powrócą i rozliczą opieszalszych, którzy chcieliby znowu zamieszkać spokojnie w biurokratycznym rajku.

„MUZEUM”. Tak pracownicy Zakładu Mleczarskiego w Zabrowie nazwali, wybudowaną przez Ośrodek Badań i Rozwoju Aparatury Mleczarskiej w Warszawie, wytwórnię białka teksturowanego. Obiekt stał zamknięty na cztery spusty i tylko przez szybki można było podziwiać lśniąca płatannę rur i rurek ze stali nierdzewnej (import) oraz „eksponaty” z Japonii, Danii, USA... Koszt ich owiany jest mgłą tajemnicy.

Pierwotnie, w 1977 roku, miano uruchomić nową linię do produkcji kazeiny. Później, osławiony planista Tadeusz Wrzeszczyk uszczęśliwił SM w Zabrowie decyzją o realizacji linii białka, będącego substytutem mięsa, a wyrabianym z odłuszczonego mleka z dodatkiem smalec. Miał to być eksperyment na skalę światową: kiełbasa z wszystkiego, tylko nie z mięsa. Rewelacyjną technologię opracował prof. Stefan Poznański z Akademii Rolniczo-Technicznej w Olsztynie. Całkowicie zautomatyzowaną linię wypróbowano w 1980 roku. Próba była ponoć udana: otrzymano produkt zawierający m.in. około 50 procent wody, 6 procent tłuszczu i 38 proc. białka. Zapomniano tylko zadbać o odbiorcę, a dwudniowa trwałość wyrobu (pierwotnie patent opiewał na 5 dni) wymagała kontrahenta pod bokiem zakładu. Gdy po sierpniu wycofano z produkcji wszelkie substytuty mięsa eksperyment spłajtował. 30 września br. OBRAM podjął męską decyzję: przestawić część urządzeń na produkcję serków homogenizowanych, twarogów i serów żółtych. Prace adaptacyjne potrwały do wiosny 1982 roku. Czy trzeba było utopić w mlecznym błocie miliony złotych dewizowych, by przekonać się, że mleczarnie powinny produkować sery?

JESZCZE MAMY SERCE. Z inicjatywy NSZZ „Solidarność” oddział w Grajewie, niewiedomi, starsi państwo Czerwinińscy, mieszkający w walacej się ruderze, otrzymają pod koniec listopada klucze do spółdzielczego mieszkania. Na Książeczkę Mieszkańców wyłożyła po połowie „Solidarność” oraz Urząd Miasta i Gminy Zambrów.

OBŁĘZENIE PRZEŻYWAŁA ZAMBROWSKA „Bawelna”. To za sprawą Komisji Zakładowej NSZZ „Solidarność”, która wyszperała w magazynach nieużywany sprzęt i sprzedała go rolnikom. Największym popytem cieszyły się silniki elektryczne. Proponujemy innym zakładom pójść w „bawelniane” ślady.

Redagowanie „Zdarzeń”
ADAM JERZY SOCHA

pytanie drażliwe (1)

Chcesz popełnić samobójstwo? przejdź wieczorem ulicą Wojska Polskiego w Łomży. Nieoświetlona od 8 lat główna arteria miejska już wielokrotnie była miejscem śmiertelnych wypadków. Jak długo jeszcze przejdzie przez tę ulicę może być ostatnim przejściem w życiu przechodnia? Na pytanie odpowiadają: kierownik Wydziału Gospodarki Terenowej Urzędu Miejskiego, Krzysztof Kaczyński, jako odpowiedzialny za oświetlenie w mieście; naczelnik Wydziału Infrastruktury w Wojewódzkiej Dyrekcji Rozbudowy Miast i Osiedli Wiejskich, Henryk Wagner, jako reprezentant nadzoru technicznego oraz kierownik Maciej Schil z Rejonu Energetycznego, jako przyszły użytkownik linii oświetleniowej na tej ulicy.

KRZYSZTOF KACZYŃSKI: — Jak rozpocząłem pracę w Urzędzie w 1978 roku to już sprawa była zabagniona. Kilkakrotnie „wachałem” ten temat. Nie mogłem się zorientować, gdzie sprawa się zaczyna, a gdzie kończy. Wykonawca — Białostockie Przedsiębiorstwo Instalacji Elektrycznych — nie skończył tej linii i nie oddał jej do użytku.

MACIEJ SCHIL: — Pretensje zgłaszane są pod nasz adres, kiedy odpowiedzialny za wykonanie oświetlenia publicznego jest nie Rejon a Urząd Miasta. Gdy linia zostanie wykonana odbierzemy ją i wówczas my odpowiadamy. Wykonano tylko część inwestycji po jednej stronie drogi; po drugiej natrafiono na kolektor i zaniechano robót.

KRZYSZTOF KACZYŃSKI: — W rowie położono kanał deszczowy, a tędy miała pójść linia energetyczna... Jest fizyczną niemożliwością wcisnąć jej tam teraz. Żadne biuro nie chce się podjąć wykonania odpowiedniego projektu, by linia poszła na zewnątrz chodnika.

MACIEJ SCHIL: — To zrobić tylko po jednej stronie: zamiast żarówek 250 Wat, dać 400 i zagęścić słupy.

— Dlaczego Urząd Miasta nie dopilnował, by wykonawca zrobił co do niego należy?

KRZYSZTOF KACZYŃSKI: — Nie miałem żadnej dokumentacji. Nie wiedziałem, czy ktoś od nich tę robotę odebrał czy nie. Na 1 grudnia zwołałem naradę w tej sprawie. Zaprosiłem przede wszystkim wykonawcę i rozstrzygniemy ten problem.

HENRYK WAGNER: — Umowę na tę inwestycję zawarliśmy w 1973 roku. Do tej pory wykonawca nie oddał nam pracy do odbioru. Nawet jeżeli otrzymał zapłatę za roboty w trakcie ich trwania, nie zwalnia go to z obowiązku dokonania inwestycji.

Ciąg dalszy nastąpi po 1 grudnia.

pytanie drażliwe (2)

Ile jeszcze potrwa rozpoczęty latem remont Baru Mlecznego przy ulicy 22 Lipca w Łomży? Odpowiada zastępca dyrektora ds. produkcji i gastronomii WSS „Społem”, Bożena Karendys.

BOŻENA KARENDYS: — To już nie jest nasz obiekt. Urząd Miasta przejął go na klub seniora. Tam walił się sufit.

— Czy seniorom nie będzie się walił?

BOŻENA KARENDYS: — Nie wiem. To budynek prywatny. Urząd zdecydował, kto będzie remontował.

— Dlaczego w miejsce zamkniętego „Społem” nie uruchomiło innego Baru? To był jedyny Bar Mleczny w Łomży.

BOŻENA KARENDYS: — Bary mleczne są deficytowe, ale centrala już myśli, by z dniem 1 stycznia wszystkie bary były IV kategorii. Bary tej kategorii staną się barami mlecznymi.

(ajs)

myśl z atestem

Jeśli ten, kto na górze, nie dba o zasady, wówczas ci, którzy są niżej od niego, praw przestrzegać nie będą.

(Mencjusz)

PUNKT WIDZENIA

dość pańszczyzny

Coraz częściej, na różnego rodzaju zebraniach, padają słowa: „Jak długo jeszcze można prosić wieś o chleb — trzeba przywrócić obowiązkowe dostawy!” Jak reagują na tę propozycję najbardziej nią zainteresowani?

IRENEUSZ POLAK, rolnik ze wsi Srebrna, gmina Szumowo: — Ludzie, którzy jak mówią, nie mają krzty wyobraźni, ani nie myślą. I naczę wiedzieliby, że z tych mrzonek nie będzie pełnych półek i haków, ale zamęt. Nie będę już mówił o tym, że aby było mięso, mleko, masło trzeba nam węgla, maszyn, nawozów; że w łomżyńskim miliardy złotych wsadzono w meliorację i nikt urządzeń wodnych nie sprawdza, nie konserwuje, a ziemia w którą wszyscy włożyli kupę pieniędzy, nie rodzi. Przykładów takich jest więcej.

Po raz pierwszy w historii my, chłopcy, jesteśmy zorganizowani i silni. Nie chcę straszyć, ale wieś nie da już sobie narzucić pańszczyzny. Nie sądzę jednak, by ktoś „na górze” myślał o obowiązkowych dostawach poważnie. Mówią o nich ci, którym chodzi o skłócenie wsi z miastem. „Zmusić chłopca!” — wystarczy dziś krzyknąć na wiecu i wiadomo jak głodny zareaguje. Mają już efekty. Wchodzę do sklepu, proszę o coś, a paniienka — widząc moje czarne, spękane ręce „wsiocka” — dostaje spazmów: „Może cały sklep na furę by włożył!”

W ekonomii nie może być dowolności. Dlatego też krytycznie oceniam decyzję o handlu wiązaniem. Ci, którzy to wymyślili nie zastanowili się nad przyszłością. Jeśli rolnik będzie mógł wreszcie kupić traktor, samochód lub inne niezbędne urządzenie, to wyprzeda — by mieć pokrycie 1:5 — wszystko: warchlaki, maciory, jałówki. Za rok nie będzie więc nawet wyjściowego materiału hodowlanego. W decyzji czytamy również, że wszystko za mięso. A przecież — jeśli ukierunkowaliśmy się na mleko i trzymamy dziesięć dojnych krów — następnego dnia nagle nie zaczęć hodować tuczników. Takie decyzje są złe, bo doraźne; w rolnictwie w ten sposób myśleć nie można, gdyż jutro może być naprawdę katastrofa. Ja i cała wieś czekamy bardziej na traktory, paliwo, ogumienie, nawozy, węgiel, paszę niż na radia, telewizory, pralki. I na decyzje inne: na uporządkowanie bałaganu w gminach — od geosu przez szkolnictwo na urządach gminnych kończąc. Zabrały się za to wojskowe grupy operacyjne i ich chwala im!

(W. T.)

odsłonięcie tablicy

Po pomnikach kolej na tablice. 22 listopada w Drozdowie odbyła się uroczystość odsłonięcia tablicy pamiątkowej poświęconej zmarłemu tutaj 6.1.1938 r. Romanowi Dmowskiemu. Uroczystość ta połączona z mszą św. zgromadziła liczne delegacje z wielu stron Polski. Wśród znakomitości, przybyłych uczcić pamięć twórcy i głównego teoretyka Narodowej Demokracji obecny był pisarz Jan Dobraczyński. Przed i po mszy wygłoszono kilka wykładów poświęconych autorowi „Myśli nowoczesnego Polaka”. Jednego z wystąpień nie powstydziło by się T.P. „Grunwald”.

zdanie tygodnia

Partia mówi, że chce jak najlepiej: rząd — jak najlepiej; „Solidarność” — najlepiej, związki branżowe — najlepiej. Tylko nam wszystkim na gorsze wychodzi. Książd Pana wini... a nam wszystkim zewsząd nęda.

(Zdzisław Konopko z „Pasmanty” w Grajewie)



W procesie przemian, jaki dzieje się w Polsce, założone dojścia są często sprawą wiary, czyli wejściem w obszar myślenia magicznego, jeżeli się przyjmie przyczynę najprostszą i najpierwszą, istnienie Boga, wówczas wszystko będzie się po kolei zgadzać; jeżeli się przyjmie prymarność materii, również wszystko ułoży się w związki przyczynowo-skutkowe. To tyle o prognozowaniu procesów społecznych — rozumianych — jak w tym dowcipie — jako zależność deszczu od gwizdka. Natomiast z pewnością należy próbować określić procesy społeczne opisywać i rozumieć je.

Dla mnie Sierpień był nie tylko przejawem protestu w sprawach ekonomicznych, sposobu gospodarowania i politycznych, ale również protestem dotyczącym kwestii społecznych. Co mam tutaj na uwadze? Już od Arystotelesa było wiadomo, że człowiek to zwierzę społeczne. Teza ta jest obecna cały czas w refleksji filozoficznej o człowieku; można tu przywołać Tomasza z Akwinu, Marksa czy słynne zdanie Teilharda de Chardina: „Przedziej ziemią przestanie się kręcić, niż ludzie jednaczyć”. W Sierpniu i w okresie bezpośrednio posierpniowym byliśmy świadkami lawinowej destrukcji struktur, które miały społeczeństwo zorganizować. Rozsypywały się dawne związki zawodowe, organizacje młodzieżowe, stowarzyszenia twórcze (lub się przekomponowywały). Był to protest przeciwko sztucznym próbom zorganizowania społeczeństwa. Okazało się, że nie jest ono rzeką, którą można ująć w karby — obetonować jej brzegi i wyznaczyć, prosto biegnące do morza, koryto. Jest to materia o wiele bardziej skomplikowana, na której nie wolno bezkarnie przeprowadzać tego rodzaju eksperymentów. Sierpień jest dla mnie również ceną, jaką trzeba było zapłacić za ten nierozumny, szkolniacki eksperyment; za myślenie, że wszystko da się ułożyć w szufladkach, „jak po sznurku”.

Sposób organizowania się społeczeństwa w Sierpniu i po Sierpniu miał dla mnie przede wszystkim charakter symboliczny. Jednoczyło się ono wokół pewnych symboli.

Ale po etapie jednoczenia się społeczeństwa — społeczności terytorialnych, lokalnych, grup zawodowych i klas społecznych — wokół określonych symboli przyszedł czas na pytanie o cel zjednoczenia; a zatem — i o programy. My wprowadziliśmy jakby już za sobą okres pytania o programy, bowiem i partia, i „Solidarność” wyszły z nimi na swoich zjazdach, ale są one ciągle nieprzejrzyste, nadto uogólnione; oczywiście nie mam, tu na myśli języka czy stylistyki określonych dokumentów i nie chodzi mi o ich autorską, lecz społeczną stronę.

Przyczynę tego zjawiska widzę w przeszłości. Ponieważ byliśmy nienaturalnie zorganizowani oraz poinformowani w sposób nieautentyczny, nieautentyczna była również artykulacja stanów naszych oczekiwań. Posłużę się przykładem organizacji młodzieżowej. Przysłuchuję się temu, co głosi ZM, przeglądam jego prasę (ostatnio „Zarzewie”), a to, co słyszę lub czytam, brzmi autentycznie i bardzo konkretnie. Natomiast w shomoginizowanym ZSMP wszystko musiało się rozmydlać i uogólniać, bo przecież ZSMP miało być wyrazicielem interesów całego młodego pokolenia. Czy to w ogóle jest możliwe? Młode pokolenie — zgodnie z marksistowską kategorią — ma swoje „tu” i „teraz”. W przypadku ZMW i młodzieży wiejskiej „tu” jest wsia, w której po prostu inne są warunki bytu społecznego, a zatem — inny jest również stan potrzeb niż w pozostałych środowiskach. Przykład ten dotyczy wszystkich klas, warstw i grup społecznych, które również mają swoje „tu” i „teraz”. I dlatego właśnie dopóki w naszej społecznej rzeczywistości artykulacja interesów warstw i klas społecznych, grup zawodowych i pokoleniowych nie zabrzmi jednoznacznie, dopóty będę wątpił w możliwość realizacji przyjętych progra-

mów, bo bez tej jednoznaczności programy będą postrzegane jako nadzbyt uogólnione i mało przejrzyste.

Na ową nieprzejrzystość programów rzutuje też zachowanie określonych ludzi, ludzi obsługujących swoje interesy, albo uposażonych w fałszywą, oderwaną od społecznych realiów świadomość, ludzi, którzy w obszarze „swojego” pakietu władzy, stanu posiadania, przepisów na życie spokojne i wygodne, robią wszystko, ażeby klarowność i stopień wyprecyzowania tych programów zamazać. Dla przykładu wskazałbym tu tzw. Forum Katowickie.

Ochoczo ogłosiliśmy, że nigdy nie może być tak, jak przed Sierpniem. A to niby dlaczego? Przecież tego nie da się zakląć magicznie ani odzyskać.

Rzeczywiście dokonała się głęboka rewolucja w obszarze świadomości

sytuacji zagrażających. Mamy wynawców tezy: „Państwo to ja”. Istnieje ponadto groźny podział na „my” i „wy”. Wynika on ze zbyt częstego utożsamiania państwa z aparatem przymusu. A przecież państwo to przede wszystkim obywateli i siatka relacji, które zachodzą pomiędzy obywatelem a obywatelem, obywatelem i władzą, terytorium, jakie on zamieszkuje, jego historia itd.

Państwo obywatelskie zakłada dojrzałość społeczeństwa. Czy dziś nie da się powtórzyć o nim zdania Nowaczyńskiego? Otóż obawiam się, że zmieniliśmy się niewiele i nadal jesteśmy obywatelsko niedojrzali. A czy istnieje możliwość zbudowania państwa ponad obywatelami? Okres przedsierpniowy dowiódł, że można... w postaci aparatu władzy przypo-

oranie



nieba

społecznej i politycznej Polaków, ale trudno nie żywić obaw, które zilustruję słowami ze sztambucha XVIII — wiecznego wędrowca, Johanna Kausha, o tym, że „interesy i samodzielność to najlepsze środki na rozwój geniuszu i rzutkość umysłu”. Na ile my, Polacy, byliśmy samodzielnymi i zakrzętanymi w robieniu interesów handlowych, gospodarczych itd? Z tym stwierdzeniem wędrowca Koresponduje zdanie okrutnego Nowaczyńskiego, włożone w usta Fryderyka II o tym, że Polacy łatwo się zapalają i gasną, a w dodatku nie mają zmysłu do dyalektyki. Otóż te polskie słomiane zapaly, ta awersja do dyalektyki i dogłębnego ujmowania problemów (ażeby ująć problem głęboko, trzeba dużo wiedzieć) budzą we mnie obawy, dlatego że sam entuzjazm nie wystarczy do procesu upartego budowania tego, co nazywa się społeczeństwem obywatelskim.

Czy społeczeństwo obywatelskie uda się nam zbudować? Tak, jeśli przebrniemy przez tę ogromną ilość

Państwo ze szkieletem na zewnątrz mina jakby kruchą cieplarnię, hodowlę w namiocie foliowym, który nie oprze się silniejszym podmuchom wiatru. Czego ja się boję dzisiaj najbardziej? Boję się doktrynerskiego fizykalizmu. Otóż — niezależnie od naszych wyborów czy upodobań — istnieją strony o często sprzecznych interesach, które będą się starały konstruować i ustanawiać wzorce na kształt tego ze stopu irydu i platyny z Sèvres pod Paryżem, a następnie wymierzać nimi postawy: obywatelskie, społeczne, partyjne, związkowe itd. Ile jednostek nietypowych, dewiantów w znaczeniu, w jakim mówił o nich Florian Znaniecki, którzy są motorami postępu i przemian w swoim środowisku, w grupach koleżeńskich i zawodowych, zostanie połamanych? A pamiętajmy, że członkowie partii, związków zawodowych, obywatele, to my właśnie. Obawa, oczywiście, nie znaczy, że tak będzie, ale można przecież zauważyć sporo symptomów wskazujących, że tak być też może. Boję

się więc nietolerancji, która zawsze mściła się na dziejach tego narodu.

Boję się także tych, którzy chcieliby na tej naszej tradycyjnej tolerancji zerować i być nietolerancyjni, zgodnie z założeniem: ponieważ tradycja kultury polskiej jest taka, to ja mogę sobie hasać bezkarnie, a jak ktoś się sprzeciwi, to powiem, że jest on nietolerancyjny. Oczywiście jest to sytuacja dla cyników, dla graczy i dla tchórzliwych manipulatorów.

Boję się tego, że my nie bardzo chcemy zrozumieć, dokąd mamy iść i gdzie jesteśmy. Przeglądam od Sierpnia ogromne stosy publikacji, które rejestrują i analizują proces przemian. Ale często, zbyt często są one pisane językiem pustym. Mielismy w najbliższej przeszłości tzw. nowomowę, która niczego nie orzekała; mieliśmy język magiczny, przy którego pomocy próbowaliśmy zaklinać rzeczywistość. Wytworzyliśmy magiczne myślenie. Otóż to magiczne myślenie, przy bardzo dobrych nieraz intencjach, produkuje puste, nie znaczące, orzeczenia. Za to ciągle brak nam pogłębionych analiz społecznych konfiguracji, rozpoznania społecznej fizjografii. I ciągle np. nie chcemy wiedzieć, co myśli chłop, co on wie, jakie są jego interesy. Dalej: czy mamy uczciwie przeprowadzoną analizę inteligencji, jako swoistej warstwy pośredniej, jej uzależnień, proveniencji lub znaczenia? Dalej: a co my wiemy o klasie robotniczej? Co wiedzieliśmy przed Sierpniem? Czy znaliśmy faktyczny stan jej oczekiwań? A potem czujemy się zaskoczeni, że oto fala protestu najwyższa była w środowisku robotników najlepiej zarabiających! Samo zdziwienie i zachwyt nad determinacją klasy robotniczej nie wystarczy. Zachwycać się można nogami Marleny Dietrich, a tu trzeba uczciwiej analizy, bo dokąd nie będziemy wiedzieć, jakie jest położenie ludzi pogrupowanych w warstwy i klasy, jakie są ich faktyczne interesy, nie potrafimy zbudować społeczeństwa obywatelskiego. A jeżeli nawet zbudujemy, to nie tak i znowu na krótko.

Dlaczego był możliwy tak długotrwały eksperyment ze społeczeństwem posegregowanym w szufladkach? Z paru względów. Przede wszystkim z lenistwa umysłowego, znajdującego dziś wyraz w okrzykach: „do Sierpnia myśmy nic nie wiedzieli!” Socjologia była bezradna, publicystyka także. Niektórzy usprawiedliwiają to tym, że istniał blok cenzuralny, który — z jednej strony — kastrował niepokoje, a z drugiej: kłamliwie bądź fałszywie informował władzę o stanie społecznej świadomości. My, dziennikarze, czasem wiedzieliśmy, dokąd jedzie ten pociąg, ale byliśmy w większości leniwi, a w grupie starannych myślowo — zbyt słabi. Napotykalismy cały system blokad, braku szans na swobodną, autonomiczną artykulację sądów i orzeczeń o stanie społeczeństwa. Ponadto zbyt długo wobec niego i nas stosowano zastony dymne (Brechtowskie puszczenie dymu w oczy), zbyt konsekwentnie tworzone konsumpcyjno-zachowawczy model życia, aby nasze kasandryczne próby wieszczona mogły paść na podatny grunt i nie okazały się jedynie romantycznymi, bezradnymi gestami. Byli dziennikarze, którzy potrafili mówić to, co rzeczywiście zaobserwowali. Ale żeby te słowa nie wyglądały tak jednoznacznie: my też jesteśmy uwikłani w określoną sytuację społeczną i operujemy określonym horyzontem poznawczym. Nie jesteśmy istotami nadprzyrodzonymi, które są w stanie oderwać się całkowicie od poziomu świadomości społeczeństwa „tu” i „teraz” i z pozycji wyroczni wygłaszać sądy. Ale to nas i tak nie usprawiedliwia.

Mam nadzieję, że teraz nie damy się zadymić i że wystarczy nam staranności. A jeżeli nie wystarczy? No cóż, mówimy o nadziejach i lekach.

FRANCISZEK PIĄTKOWSKI
członek Zarządu Głównego
Stowarzyszenia Dziennikarzy
Polskich



nadzieje i zwatpienia

— Nie darujemy! Dojdziemy swego w Telewizji, u red. Bobera. Przez te wasze „Kontakty”, Obrzyte i Ołowskie skłóciły się. Czemuś pan napisał o naszej wsi bez rozmowy z nami?

Nie dociera do nich argument, że zajmuję się konfliktem między administracją w Nurze a wsią Ołowską. Czesława Kuzaka z Obrzytych dla zdenerwowania. Jego żona Halina — przewodnicząca Społecznego Komitetu Budowy Sklepu w Obrzytem — jest spokojniejsza.

Nie, ani naczelnik, ani prezes geesu z Ciechanowca pozwolenia na budowę sklepu nam nie pokazywali. Powiedzieli, żeby stawiać, to stawiamy. I postawimy, choćby nie wiem co!

Przypomnijmy pokrótce zdarzenia, które opisałem w 34/81 numerze „Kontaktów”. Na dziesięciokilometrowej drodze z Nura do Zaskowa mijają się kolejno wsie: Kamianka, Kossaki, Murawskie, Myślubory, Ołowskie, Obrzyte i Slepowrony. Gminna Spółdzielnia „Samopomoc Chłopska” w Ciechanowcu ma tu sieć swoich sklepów spożywczo-przemysłowych; w Nurze — dwa, a po jednym w Kossakach, Ołowskich i Zaskowie (drugi w budowie). Placów-

kantorkowe swawole

ka handlowa w Ołowskich, chociaż w dzierżawionym pomieszczeniu, gromadzi rozległą klientelę: z Ołowskich, Obrzytych, Slepowron, a z drugiej strony wsi — z Myśluborów i Murawskich, które wprawdzie mają bliżej do Kossaków, lecz wolą tam nie kupować, bo z Kossakami mają na pieńku o to, że tam stanął sklep, a nie u nich. O liczebności i zasięgu terytorialnym nabywców decyduje też zbiorcza szkoła w Ołowskich (jedyna w okolicy). Stu dwudziestu uczniów z sąsiedztwa zaopatruje swoje domy rodzinne właśnie tutaj. Usankcjonowaniem potrzeby istnienia sklepu we wsi był plan przestrzennego zagospodarowania gminy z 1974 roku, który przewidywał wybudowanie w Ołowskich nowego pawilonu handlowego, a tym samym — zniesienie dzierżawy.

Tymczasem na przełomie kwietnia i maja br. naczelnik gminy Nur, Eugeniusz Waśniewski, i prezes geesu w Ciechanowcu, Tadeusz Borkowski, zwołali zebranie wiejskie w Obrzytem tylko z udziałem mieszkańców tej wsi i na nim zdecydowali, że punkt sprzedaży stanie tu właśnie, a nie w Ołowskich.

Od tego momentu zaczyna się popisowo-widowiskowa część zdarzenia, z nurską administracją w roli głównej. Ołowiacy bowiem zaprotestowali przeciwko apodyktycznej decyzji obu panów: najpierw na zebraniu wiejskich przedstawicieli geesu w Ciechanowcu (14 czerwca), potem w Gminnej Radzie Narodowej, u wojewody Jerzego Zientary oraz w Wojewódzkim i Centralnym Związku Spółdzielni Rolniczych. Mnogość interwencji wywołały — z jednej strony — opieszałość (wojewody i WZSR-u), nijakie działania (CZSR-u), bezsilność (GRN-u) i sprzyjanie naczelnikowi (przedstawiciele geesu), z drugiej zaś — wprost proporcjonalne nasilenie tempa robót przy sklepie, do wagi ciężaru gatunkowego odwołań i ich częstotliwości. W dniu 31 lipca Wojewódzkie Biuro Planowania Przestrzennego w Łomży wydało decyzję o wstrzymaniu budowy, powołując się na tym pisemnie wszystkich zainteresowanych, a telefonicznie — Urząd Gminy w Nurze, zaś 3 sierpnia założyło plomby na wznoszonym obiekcie.

Ktoś jednak je zerwał i budowa szła dalej.

W połowie sierpnia o zgodę na dalsze prowadzenie robót wystąpił inwestor zastępczy, WZSR, i jeszcze raz WBPP poinstruowało zainteresowanych o przepisowym toku postępowania.

A budowa posuwała się naprzód. Dnia 26 sierpnia WBPP po raz piąty przypomniało naczelnikowi, jak załatwiać podobne sprawy: „Mieszkańcy Obrzytych rozpoczęli budowę sklepu nie posiadając na to pozwolenia, co jest sprzeczne z artykułem 28 Prawa Budowlanego. Budynek sklepu usytuowano na terenie, który zgodnie z Uproszczonym Planem Zagospodarowania Przestrzennego Gminy Nur nie jest przeznaczony na ów cel i stanowi grunt rolny. Jest to więc sprzeczne z artykułem 3 Pra-

wa Budowlanego. W związku z powyższym roboty przy budowie sklepu zostały wstrzymane przez tutejsze Biuro. Niezależnie od powyższych faktów budowie placówki w Obrzytem, przeciwni są mieszkańcy Ołowskich, na terenie których Uproszczony Plan Zagospodarowania Przestrzennego Gminy Nur przewiduje teren pod budowę pawilonu handlowego. Pozwolenie na rozpoczęcie już robót nie może być wydane bez ewentualnej zmiany w Uproszczonym Planie Zagospodarowania Gminy, a następnie pozytywnej decyzji lokalizacyjnej Obywatela Naczelnika. Jeżeli obywatel Naczelnik chce taką zmianę wprowadzić, winien wystąpić do tutejszego Biura o opracowanie materiałów niezbędnych do przedłożenia GRN-owi w Nurze, by ten rozpatrzył je i podjął uchwałę o ewentualnej zmianie usytuowania. Dopiero wtedy sprawa wydania ewentualnego pozwolenia może być rozpatrywana przez nasze Biuro”.

— Przy sprawnym zajęciu się tą kwestią naczelnik mógłby otrzymać od nas pozwolenie w 2—3 miesiące — dodaje w rozmowie ze mną zastępca dyrektora Biura, Eugeniusz Dąbrowski.



Ale naczelnik problemem się nie zajął. Sklep wznoszono dalej.

Gminna Rada Narodowa w Nurze wysłała więc wojewodzie Jerzemu Zientarze uchwałę swego Prezydium, która ponownie zobowiązywała naczelnika do wstrzymania prac oraz informowała, że nie respektuje on jej postanowień, ponieważ po pierwszym identycznym zaleceniu przyspieszono tempo wznoszenia sklepu. Już po... sześciu tygodniach przyszła odpowiedź z kancelarii wojewody: „Naczelnik nie otrzymał oświadczenia do wykonania. O nielegalnej budowie sklepu powiadomiono go po powrocie z urlopu”.

W dziewięć dni potem GRN znów listownie wyluszczał rzecz wojewodzie: „W każdym posiedzeniu Prezydium uczestniczył Naczelnik lub w jego imieniu sekretarz Urzędu Gminy, w funkcji zastępcy naczelnika. Sekretarz UG, Janina Trochim była przy podejmowaniu postanowienia. Jeżeli nie przekazują sobie informacji, po co biorą udział w posiedzeniach? Nieprawda, że naczelnik był w tym czasie na urlopie. Pani Trochim oznajmiła bowiem na zebraniu GRN, że bierze w nim udział z polecenia Naczelnika, który wyjechał w teren. Nazajutrz, 24 czerwca postanowienie (ze względu na tygodniowy termin jego realizacji) oświadczenie doręczyła Naczelnikowi inspektor ds. rady narodowej. Ponieważ u naczelnika byli interesanci, uchwałę zostawiła pracownicy UG, Krystynie Szulborskiej, która obiecwała oddać pismo Waśniewskiemu tego samego dnia. Nieprawda, że o podjęciu nielegalnej budowy Naczelnik dowiedział się po powrocie z urlopu, gdyż na drugim posiedzeniu Prezydium GRN w sprawie sklepu, 13 lipca — w obecności naczelnika (podkreślenie — J.S.) — stwierdzono: »po wydaniu postanowienia skierowanego do naczelnika gminy, prace przy budowie sklepu w Obrzytem

zostały celowo nasilone«, a naczelnik odpowiedział: »wydałem opinię pozytywną w sprawie budowy«.

W końcowych słowach repliki na „wyjaśnienie” Jerzego Zientary, Prezydium GRN-u stwierdziło, iż „wyraża niezadowolnienie co do sugestii obywatela wojewody, by zaproponować korektę planu zagospodarowania. Byłoby to jawne łamanie praworządności i tworzenie polityki faktów dokonanych. Przyjęcie takiego postępowania sprawdzi funkcję Rady do roli mechanicznego zatwierdzenia wszelkich, nawet bzdurnych decyzji według woli jednej czy dwóch osób. Jest to wyraźna próba manipulowania Radą Narodową”.

Można by mnie zapytać słowami wiceprezesa Ciechanowskiego geesu, Eugeniusza Wawrentowicza, który zastępuje szefa urlopującego od miesiąca w Stanach Zjednoczonych: — Po co pan zajmuje się tym sklepem? Mało to innych tematów. Tysiące takich pawilonów stanęło bez pozwoleni i dobrze, a pan uczepliłeś się jednego.

Skoro tysiące, pytam prezesa Wawrentowicza o decyzje na dotychczas: w Kossakach i Zaskowie. O dziwo, są. Na urzędowym papierze, podpisane przez Waśniewskiego, któ-

rator wojewódzki. Na takie słowa prezes tematu nie kontynuuje, za to tryska inwencją, gdy pytam o przyszłość dzierżawionego punktu sprzedaży w Ołowskich.

— Skazany na śmierć. Wtargnie Sanepid raz, drugi, i sklepik się zamknie, bo higieny tam nie ma.

Teraz ja ostrzegam, że ołowiacy kantorka nie oddadzą dobrowolnie, a naród tam zdrowy, mocny w rękach...

Uśmiech ginie z twarzy prezesa, czego zrozumieć nie potrafię, pomny jego dewizy życiowej: „Cel uświęca środki”, przez której pryzmat radził mi patrzeć na sklepowy dyalekt.

Kilka dni przed tą rozmową, kolegium przy naczelniku w Nurze ukarało niejakiego Longina Stokowskiego z Obrzytych za pracę przy wznoszeniu pawilonu, pomimo wstrzymania robót przez WBPP. Obwiniony wobec mnie nadał swemu postępkowi wymiar zaszczytnej działalności. Uderzył w nutę patriotyczną: — Jestem dobry Polak. Kto widział karać ludzi za to, że chcą pracować w czynie społecznym, że wnoszą bezinteresownie nowe budynki dla dobra ojczyzny?

Ta obywatelska nuta niezmiennie towarzyszy wypowiedziom rodziny Kuzaków, Wawrentowicza, Waśniewskiego: — Budowa sklepu w Obrzytem, to przykład wspaniałej, wywołanej aktywności ludzkiej, zrodzonej z ducha odnowy; przykład powrotu wiary w sens czynów społecznych. Jak można za to karać?

Kto zrywał plomby, Stokowski nie wie, skąd były materiały, przed kolegium nie powiedział; mnie oświadczył, że ludzie dawali od siebie.

Zgodnie z paragrafem — za „czynny społeczny, zrodzony z „ducha odnowy”, naczelnik może odpowiadać przed kolegium, jeśli Prokuratura dopatry się w nich nieczności, i ponieść karę grzywny do pięciu tysięcy złotych, z możliwością zamiany na trzy miesiące aresztu. Siedem lat temu podobną samowolę kwalifikowano jako przestępstwo, obecnie — jest to tylko wykroczenie.

A konsekwencje służbowe? W liście do GRN-u wojewoda Jerzy Zientara napisał: „Za dopuszczenie do nielegalnej budowy odpowiedzialny jest inwestor tzn. GS Nur. Wystąpiłem do Prezesa WZSR o konsekwencje służbowe wobec prezesa Zarządu GS”. Prezes WZSR-u, Hilary Karwowski — zgodnie z drogą służbową — przekazał sprawę do rozpatrzenia Radzie Narodowej geesu w Ciechanowcu. Minęły dwa miesiące. Odpowiedzi od Rady do tej pory nie otrzymał.

Na temat Waśniewskiego wojewoda napisał: „Zwróciłem uwagę (podkreślenie J.S.) Naczelnikowi za brak organizacji pracy Urzędu i bieżącego nadzoru nad realizowanymi budowlami i nie zapewnienie właściwego wykonania decyzji GRN. Zobowiązałem go równocześnie do zorganizowania skutecznych przedsięwzięć doprowadzających do prawidłowego załatwienia zaistniałych spraw”.

Tak sroga kara miała skutek natychmiastowy. Gdy w miesiąc później odwiedziłem naczelnika Waśniewskiego, oświadczył, że nie ma uprawnień do egzekwowania decyzji o wstrzymaniu prac przy pawilonie, i nic w tej materii robić nie zamierza, bo to nie jego obowiązek. No, cóż. Skrusza adekwatna do kary.

Zapyta ktoś nie przekonany, czy jednak warto aż tyle pisać o jakimś głupim sklepie, skoro i tak nic w nim obecnie nie można kupić. Warto, bowiem nie tylko o sklep tu chodzi. Administracyjne poczynania, związane z jego wznoszeniem, są klinicznym przykładem metod działania naczelnika w wymiarze ogólniejszym. Stronnicze przydziały maszyn, skandaliczna droga do bazy GS-u i asfaltowana do domu naczelnika, rażące zaniedbania w użytkowaniu promu — to trzy wywoławcze hasła tego samego stylu rządzenia w gminie. Jest nań jedno słowo: sobiepaństwo. Pisałem o tym obszernie w 34/81 numerze „Kontaktów”. Waśniewski nie chciał wracać do tego artykułu. W rozmowie ze mną skwitował go krótko: — Podobno było coś tam o mnie.

A może jednak pan wojewoda umówiłby się z naczelnikiem na wspólną lekturę owego tekstu i dał znać o jej rezultacie? Czekam na to społeczeństwo Ołowskiego, Myśluborów, Gminna Rada Narodowa w Nurze, tamtejszy Gminny Komitet PZPR i... duch odnowy.

JULIUSZ ŚWIĘDO
Fot. GABOR LÖRINCZY

Pędzimy co koń (mechaniczny) wyskoczy, by zdążyć na trzynastą. Ale droga, rozmiękła po pierwszym śniegu, skutecznie ogranicza pośpiech. Przez dobrych kilka kilometrów trzeba meandrować pośród głębokich bajorek, jeśli w ogóle chce się dojechać do Kaczynka. Przed chałupą sołtysa zjawiam się grubo po wyznaczonej godzinie rozpoczęcia zebrania. Ale w domu, poza gospodarzami i sekretarzem KG PZPR z Szumowa, Stanisławem Cwaliną, nikogo jeszcze nie ma. — Zaraz się skrzyknijemy — mówi sołtys, Kazimierz Głębocki, i nie spiesząc się wychodzi z izby. Gospodyni kończy tymczasem porządkować kuchnię, odkurza miotłą podłogę i szmaciane chodniki. Dzieci, jako że przy gościach w samych rajstopach biegać nie wypada, wytrwale nurkują z porzecznic pod łózkami w poszukiwaniu bućków. Sekretarz Cwalina siada na najbardziej świętym miejscu: na ścianach z jednej strony stołu Matka Boska, z drugiej — Chrystus; tuż obok — profil papieża. Po piętnastu minutach do kuchni wchodzi pierwszy członek partii i z miejsca rozpoczynają dyskusję.

— Robi się tyle czynów, kurna, to powinno być dobrze!

— Nie chodzi o czyny, chodzi o oszustwo. Ale jak jakaś jednostka będzie sama o sobie myślała, swoje „ja” okazywała, to niczego nie będzie.

— Powinna być dyscyplina, tylko to powinno być. A u nas jak kto chce, tak rządzi. Jeżeli premier Jaruzelski swej ręki nie położy na tę barłożynę, nie będzie w Polsce spokoju.

— Po wyzwoleniu było więcej niż teraz. Żeby tak czas zaprzepaścić!

— No, Kazik, co ty gadasz? Przecież u nas w Śniadowie tej fabryki pustaków nie było, a teraz cały teren tam się zaopatruje i tego mamy bardzo dużo.

— Dziesięć lat temu drutów, żelastwa, gwoździ mieliśmy pod dostatkiem. A co teraz? Z każdym rokiem powinno być coraz lepiej, a jest coraz gorzej. A przez co się gorzej robi? Moim zdaniem: za dużo jest rządców w kraju, a mało ludzi do roboty. Nas może uratować tylko jedynie spokój i robota.

— A popatrzcie w telewizji: co dzień inaczej mówią. Kryzys wyciągają, a — jak słyhać i widać — jeszcze gorzej się on zagłębia.

— Z Ameryki idzie dla naszych żłobków żywność, Związek Radziecki daje 30 tysięcy ton mięsa. A po co nam to? Przecież mogliśmy sami się wyżywić! Ale, panowie, jak nie ma roboty, tylko strajki...

— Pozwólcie może ze dwa słowa, o sprawach, które interesują nas i środowisko wiejskie. Sam się zastanawiam, na ile jest potrzebna i konieczna, na ile zdaje egzamin reglamentacja środków produkcji za żywiec. Produkcja globalna spadła na terenie gminy niewspółmiernie do lat poprzednich. Skup żywca waha się w granicach 40—60 procent, żywca wołowego — 40, wieprzowego 50—60 procent, w zależności od okresu. Wspomnieliście o 30 tysiącach ton mięsa ze Związku Radzieckiego, ale trzeba zabezpieczyć 36 tysięcy ton mięsa i przetworów miesięcznie na pokrycie kartek, więc nie będzie tego nawet na miesiąc. Chcę was zapytać o odczucia na temat dalszego utrzymywania kartek w środowisku wiejskim. Taka jest prawda, że następuje coraz większe skłócenie wsi z miastem. Robotnicy mają pretensje do nas rolników, że nie produkujemy żywności, a my z pretensjami do robotników, że nie ma środków produkcji. I ten diabelny krąg zaciera się coraz bardziej. Trzeba z tego jakoś wyjść. Dalsza sprawa do dyskusji, to dostęp do mieszanek. Jak byście to widzieli? Taka jest generalna opinia, że rolnicy tuczniaki przetrzymują. Jak jest w rzeczywistości?

— Ja bym powiedział tak: trzeba wprowadzić taką formę sprzedaży mieszanek, jaka była w poprzednich latach. Żeby mieszanek starczyło, to i zboże sprzedać dla państwa. Ja mam tylko mieszanek na maciory (mam dwie). I dla nich tylko trzymam, żeby odchowować małe prosięta. Pięć warchlaków na swojej śrucie żytniej chowam już pół roku, a wazę tylko po 30 kilo. Mieszanek paszowej nie mogę dla nich kupić, bo nie ma zlecenia. Wyjdzie na to, że dopiero za rok będą miały po 100 kilo na tej śrucie. Po co tyle państwo ma czekać na moje świnię, jak mógłbym już za te sześć-siedem miesięcy odwiedzić je do punktu skupu. Było dwa metry na świniaka, a

teraz tylko 80 kilogramów, i jak się słyszy w telewizji — będzie jeszcze mniej: 60 albo i 40. Utuczę go tymi czterdziestoma kilogramami? Jak teraz żądać od rolnika, by dał żywność! Nigdy jej nie będzie. Nie czarować też rolników tym sprzętem: dacie nam tucz, damy sprzęt. I tak, i tak go nie ma. A jeszcze na milion złotych każą zdać tuczu, by kupić krajowy ciągnik. Trzeba by całej wsi, żeby w jednym miesiącu zdała tuczniaki. To tylko obłuda. Wprowadzić taką formę, jak w 1979: przywieźć tuczniaka, śrutę było, ile chciałeś. Ciągłe gadają i gadają: „wyprowadzić z kryzysu”, a nakłady na chłopca są takie, że od razu by go zgmiotło.

— Z tego wychodzi, że rolnik musi się ogłuchać na swój tył i przód; sam siebie zaopatrywać i nie brać miasta pod uwagę.

— Moim zdaniem, tym się zniechęca rolnika. Nic, tylko ręce opuścić, bo nie da rady za tyle wyprodukować, choćbyś pękl.

— Zdać za 25 tysięcy, to rower dostaniesz, bo telewizora i komara już nie.

— A i tak Daniszewski w Szumowie powie, że u niego nie ma, choć w magazynie jest. Chciałem motor u niego kupić, przywieźli trzy czy cztery, a on powiada, że nie ma.

— Czekaj, Kazik, my przy każdej

kończyć, to powiedział: aaa, nie ma funduszy, nie ma tego, nie ma siego, są ważniejsze sprawy.

— Słuchaj, Antoś, od Jastrząbki do Śniadowa kto robił drogę? Państwo! A myśmy wszystko czynami robili. Tam ludzie zarobili, a tu musieli swojego dolożyć.

— Nie winimy naczelnika, bo to nie była jego wina, tylko tych, co plany robią.

— Jakby w miesiąc po naszej społecznej robocie położyli asfalt, to nie byłoby tego bajora. Teraz znów trzeba brać spychacz, koparkę, wywrotkę, i od początku zaczynać.

— Jak będziem oglądać się na Szumowo, to drogi nie będzie, trzeba nam spojrzeć w drugą stronę.

— Myśmy z towarzyszem sekretarzem waszej organizacji dyskutowali na ten temat. Organizacja partyjna występowała z wnioskiem, dosyć ostro, w 1979. Efekt był taki, że przysłali przyczepę ze żwirem. Tydzień stała, aż zamazła i wyciągnąć jej nie mogli.

— Jeszcze mam jedną sprawę do służby rolnej. Kierownik nie był ani razu w Kaczynku, żeby doradzić nam, co na poplony siać, a na podorywki wapno jakie: magnezowe czy inne. Były przydziały ciągników, ja miałem ciągnik przyznany, to on powiedział, że wie, komu się ciągnik należy, a komu nie i mnie zabrał.

jakie muszą być ceny, żeby firma wyszła na zero, wliczając i redukcję niektórych zbędnych etatów. Tak sobie prywatnie wyliczyłem, że godzina pracy, na przykład ciągnika, przy samofinansowaniu będzie wynosiła 300—400 złotych. Jeśli kierowca będzie obsługiwał, dajmy na to, kosiarkę rotacyjną, która w ciągu jednego sezonu zdewastuje się, to cena koszenia nie wyniesie pięćset, a tysiąc złotych albo i półtora. Jakże wtedy będą efekty produkcyjne u rolnika?

— Ja bym miał do sekretarza jeszcze jedną sprawę. Człowiek w kolejkę pójdzie, a taka mówi: swojego zabij świniaka. Ale jak ja zabiję, to ona nie będzie miała co zjeść.

— Toż ta Wiśniewska ze sklepu agencji mówi do mnie: „Co to za rolnik, że stoi w kolejce za mięsem. Ja tam nie stoję”. Zgoda, tylko że ona pójdzie na zaplecze i weźmie bez żadnej kolejki. A my? Siedem świniaków zdasz, pójdiesz do kolejki i nie dostaniesz ani kilograma.

— Przecież rolnik nigdzie nie wywiezie, tylko w kraju zostanie. Już taką robią nienawiść, chcą niektórych obowiązkowych dostaw.

— Obowiązkowe dostawy? No to niech oni też dadzą obowiązkowo: maszyny, traktory, nawozy, pasze...

— Ja tak mówię, że dużo jest do rządzenia. Siedzi po godzinie panienek i przez godzinę kawą piją, bo się jej śniadanie zjeść należy. Wszystkich tych, którzy pochodzą z rolnictwa, powinni z urzędów pousuwać, a dać ludzi z miasta.

— Jeśli który nie ma gospodarstwa, to gdzie go zatrudnisz?

— No, jak cię ten z miasta załatwi, to...

— A myślisz, że ze wsi się na rolnictwie znają? Jak pobędzie taki dwa tygodnie w mieście i przyjedzie na wieś, to grabi nie poznaje.

— Tych urzędników od groma. U nas służba rolna w gminie, w SKR-ze i w geesie liczy chyba ze 20 osób albo i więcej. Czy przez cały rok pojawi się któryś u gospodarza, porozmawia? A jakie może mieć pojęcie dziewczynka, która pewnie za cielaki technikum rolnicze skończyła...

— No widzisz, z miasta wszyscy są tacy, to co mogą doradzić?

— Niech idą do gospodarzy i ze dwa lata popracują.

— Moim zdaniem: państwo winne, że dało tym młodym dobrobyt. Taki buźziel pójdzie do miasta, kieszeń pełna pieniędzy, mało roboty. Na studia chodzi i strajkuje. O czym te młode myślą: zjeść, wpić i pochulić.

— Póki gospodarz robi, oni strajkują, ale jak my przestaniemy, to zobaczymy, czy wtedy będą strajkować!

— Do czego to doprowadzi? W końcu wszy nas zjedzą.

— Towarzyszu sekretarzu, dlaczego nas przypisali do Szumowa, przecież kiedyś do naszego sklepu w Kaczynku przywozili prosięta do prania. A my, póki życia, prosięta w Szumowie nie dostaniemy.

— Mięso to mięso, pał je sześć, zabije się swojego, ale prosię! Jedziesz do Łomży, mówią: w Zambrowie, tam, że trzeba się zaopatrywać w Szumowie, a w Szumowie nigdy nie kupisz. Na co te kartki?!

— Stałem dwa razy w kolejce, to powiedziałem, że już nigdy więcej! Chyba chcieli nas ukarać, że nam te kartki dali. A ile jeszcze musiałem się nasłuchać? I weź teraz się z każdym kłócę. Daj Boże, żeby wcale nie chcieli dać rolnikowi tych kartek. Zamiast produkować, jeżdżą całymi dniami i w kolejkach stoi, bo nie ma prosię, mydła. Obliczyć wartość takiego dnia w żniwa!

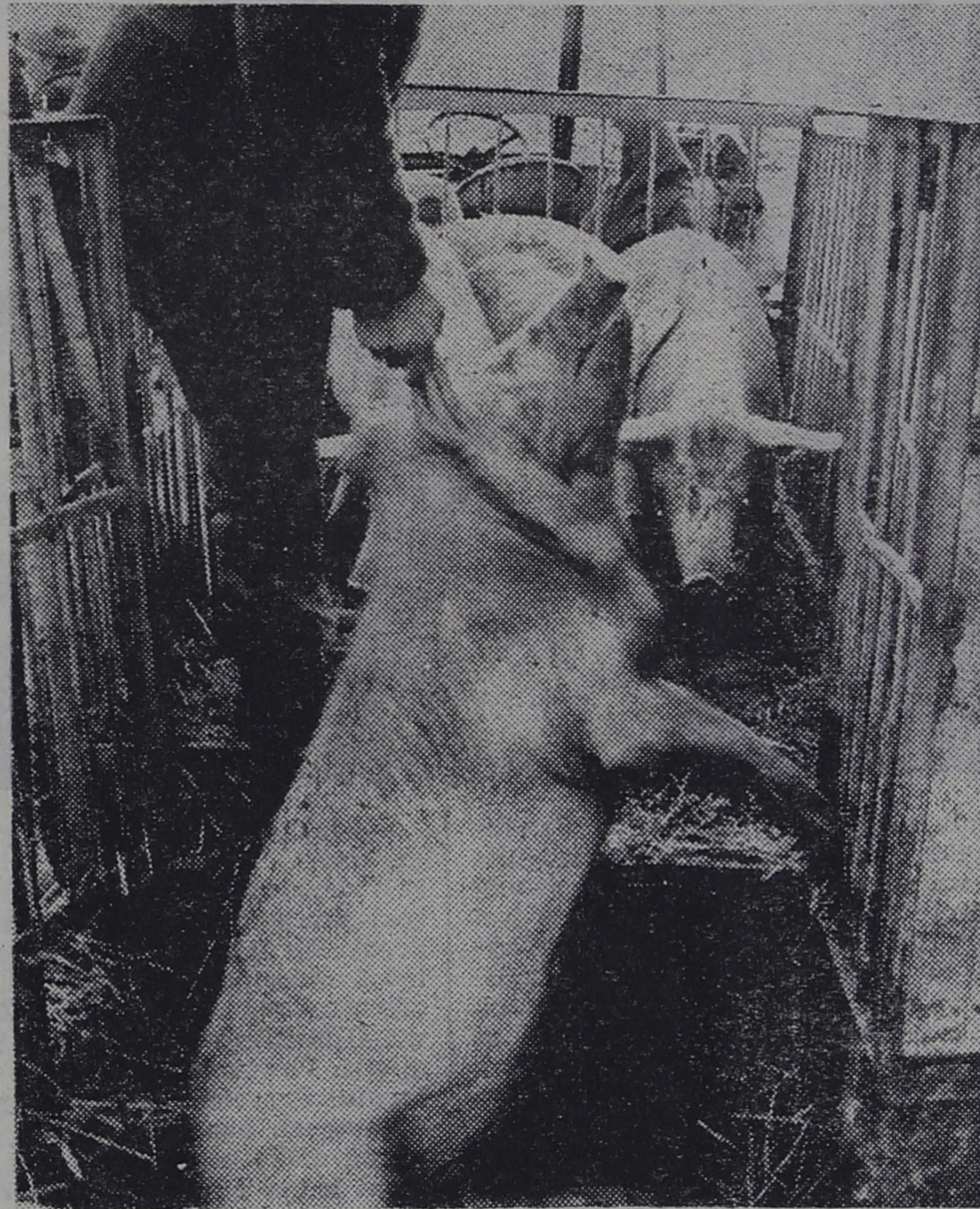
— Dlaczego muszę nieświeże mięso jeść?! Jak zdam, to kupię sobie te pięć kilo i mi wystarczy.

— Żebyś go kupił, ale nie wystoisz w kolejce.

— Bo ceny za niskie. Jak się ich nie podwyższy, to dalej tak będzie. Chciałbym już podsumować, bo tak dyskutować możemy sobie w nieskończoność. Na najbliższe spotkanie poprosimy człowieka z Rejonu Dróg i z Urzędu Wojewódzkiego, odpowiedzialnego za sprawę tej drogi. I wyjaśnimy sobie, z jakiego powodu to się zatrzymało. Problem nie jest dziśszy, a ciągnie się od 1972 r. Musimy go wreszcie po partyjnemu zakończyć. Nie damy się zbyć bezosobowym „zostanie zrobione”. Różniczymy konsekwentnie tych, którzy zawinili.

ALICJA ŚREDNICKA
Fot. GABOR LÖRINCZY

królestwo za wieprzka



NOTATKI Z WIEJSKIEGO ZEBRANIA

okazji wspominamy o tej naszej drodze. Kiedyś był naczelnik, obiecał złote chodniki, a teraz jak to wygląda? Mamy błotniane.

— Złoto poszło za granicę, nie doczekamy!

— Chodników niech nam nie robią, niech tylko wezmą się za drogę.

— Co tu gadać, jak byłem u naczelnika i wspomnieliśmy o drodze, to odpowiedział: nie macie co narzekać. Dopiero u innych byście zobaczyli! I jeszcze się obraził, że można mieć pretensje.

— Świetlicę pobudowaliśmy w czynie społecznym i teraz nie mamy żadnych nadziei, choć to jego głowa i on jest naszym ojcem na tym odcinku.

— Bo nami się interesowali, jak było jakieś święto. Zdjęć narobili, poklepali po plecach: pracujcie, pomożemy wam. Jaka pomoc, to wiadać.

— A w tamtą stronę od Szumowa wszystko mają: Srebrna, Pęczratka, Wyszomierz, Ostrożne.

— No bo naczelnik stamtąd pochodzi. Teraz jeszcze „Solidarność” dzieli. I ja, sołtys od siedemnastu lat, żadnego teraz nie mam głosu. Przegłoszą, przekrzykają. Wychodzi na to, że jak nie będziemy mieli poparcia od rządu i partii, to trzeba nam to POP rozwiązać i wpisać się do „Solidarności”, bo teraz się słyszy: tam siedzi partia, to nie dawajcie. Ale my poczekamy, może się jakoś ustabilizuje.

— Ile nam naobiecowali! Wyposażenie dadzą świetlicy. A teraz byliśmy u niego, żeby nam pomógł wy-

Siedzi tylko za biurkiem w Szumowie i opinie wydaje.

— U nas nie ma żadnego sprzętu, nawet kosiarki. Tylko ten konny wóz, sprężynówka konna, brony konne. I tak rolnicy u nas pracują. Zwrócić się o jakiś przydział, to dla nas nie ma, bo tam już inne rządzi.

— Jak nas widzą w Szumowie, to nawet Daniszewski powiedział. Pytałem się go o głupie żyletki. „Niech wam partia da — on na to — a jak nie ma, to zapuszczaj brodę jak Marks”. No, teraz go ta partia wyrzuciła, bo narobił manka na półtora miliona złotych.

— Może wyjaśnię. Faktycznie, grupa operacyjna na zapleczu w magazynie odkryła towary chodliwe, jak łódki, pralki, radia, telewizory, gwoździe, żarówki podświetleniowe dla prosiąt. On już na pewno pracował nie będzie, ten magazyn przejmuje Banasik Lucjan. Myślę, że Daniszewski odpowiednią nagrodę za takie postępowanie będzie miał. W tej chwili prowadzi prokuratura śledztwo nie tylko w sprawie sklepu numer 2, ale i SKR-u, za działalność w latach poprzednich. Jeśli od nowego roku wejdzie „3 x S” — samodzielność, samorządność, samowystarczalność — wyniknie sprawa cen usług. Już teraz płacicie za kosiarkę czterokrotnie drożej niż poprzednio. A chcę powiedzieć, że po podwyżce cen usług wynik finansowy jest znów na minusie: 7 milionów strat.

— Teraz jeszcze?

— Tak. Stawiam sobie pytanie:

Amwstod



Świat jest podzielony na, sprzeczne z sobą, wielorakie wartości. Dla zajmującego się problemem moralności będzie to dobro i zło, w estetyce — piękno i brzydota, w psychologii — miłość i nienawiść. Sztuka, a szczególnie teatr, jest soczewką, w której te wartości, rozpisane na losy ludzkie i narodowe, jednostkowe i społeczne, znajdują odbicie dramatyczne; obraz walki namiętności, konieczności wyborów, tragicznych epilogów. Taka była funkcja teatru starożytnego i taka jest dzisiaj.

Ale i sam teatr, podobnie jak literatura czy malarstwo, boryka się z podobnym problemem na swoim gruncie: problemem wzajemnego stosunku do siebie treści i formy. Od lat trwają poszukiwania takiej formy, która samą formę znosiłaby lub czyniła ją niewidoczną. Brzmi to być może paradoksalnie, ale te właśnie poszukiwania dominują w próbach podejmowanych przez tzw. awangardę teatru. Towarzyszy im sięganie do tradycji obrzędów ludowych, inspiracje teatrem orientalnym, a także teoretyczne rozważania i koncepcje, dotyczące teatru i jego funkcji społecznych, powołania aktora, pracy nad spektaklem — aż do uogólnień filozoficznych o sensie i istocie życia. Symptomatyczna jest tutaj postać Jerzego Grotowskiego, niejako ojca awangardy polskiej, reżysera i teoretyka teatru, twórcy „Laboratorium”, ale i mistyka, życie nazywającego pielgrzymowaniem, a swoje książki — notatkami z podróży.

Notatki z podróży — tak też mogą nazwać swoje doświadczenia i spostrzeżenia dotyczące i teatru, i tego, co pozornie jest poza nim.

Uczestniczę wraz z członkami Stowarzyszenia Teatralnego „Gardzienice” w ich kolejnej wyprawie. Jest to Wyprawa ku ludziom, wydarzeniom, a więc i ku sobie. Ciągniemy wehikuł — okazałych rozmiarów wózek dwukołowy — a na nim cały dobytek zespołu: rekwizyty do spektaklu i żywność, instrumenty muzyczne i gazową maszynkę. Z daleka widać kolorowe garby — plecaki.

Prowadzi Włodek, kierownik zespołu. Pod górę — my, nowicjuszek i goście Wyprawy — pchamy ile sił, ale i tak największy jest wysiłek tych z zaprzęgu; mają napięte mięśnie. Idący obok Sandra gra na flecie. Góra zdobyta. Popas. Zacisza polana. Słońce. W ciągu kilku minut ognisko, rozesłane koce. Z lubością wystawiamy ku słońcu czoła i pięty. Ktoś podrywa do biegu przez łąkę i las, do skoków ponad niskimi krzewami i wyrwami, do kluczenia wśród spokojnego oddechu drzew. Później zaprawa w parach: od pospolitego ważenia soli, przez stanie na głowie i rękach, do przewrotek na grzbiecie przykucniętego partnera. Ktoś nabił guza — salwa śmiechu; ktoś podał porcję — znów życzliwy śmiech. A przy ognisku muzyka i pieśń. Z emaliowanych, kolorowych, ale wyraźnie strudzonych kubków, dymi herbata. Gdyby umiały mówić, opowiadałyby o tym, jak na kolejnych, bliskich i dalekich Wyprawach zdobywały odznaczenia szlaku.

„Gardzienice” śpiewają, my — towarzyszące — mruczymy pod nosem. Ponad drzewami niesie się pieśń z przygotowywanych przez zespół „guseł”:

Oj, ty rzeko, rzeko, czemuś ty
czemuś ty niepełna
Oj luli oj luli luli
Czemuś ty niepełna
Z brzegami nierównymi
Oj luli luli
z brzegami nierównymi.
A rzeka, wezbrana w głosach
Krzyśka, Pitra, Jana i Mariusza, od-
powiada:

Jakżeż ja mam pełną być
Z brzegami równymi
Kiedy chodzą ludzie
chodzą wodę pić
Oj luli oj luli luli
chodzą ludzie, chodzą wodę pić.

Głównie na pieśniach oparte są działania teatralne „Gardzienic”. Są to pieśni różnych kultur: polskie, cygańskie, białoruskie, żydowskie, ukraińskie i rosyjskie, a nawet australijskie. Na spotkaniu z „Gardzienicami” w Remoncie Włodek Staniewski powie: „Pieśń, czynienie pieśni jest podstawowym środkiem ekspresji, do którego się odwołujemy. Pieśń jest może właśnie tym czymś uniwersalnym”. Pieśni, jak opowiadają członkowie zespołu, pozwalają na osiągnięcie porozumienia wtedy, gdy słowa są niezrozumiałe,

jak to miało miejsce we Włoszech i Francji. Pieśń i gest rodzą nową jakość odbioru, znoszącą barierę języka.

Jakim teatrem jest teatr Staniewskiego? Czym jest dla „Gardzienic” Wyprawa, Droga, Zgromadzenie, Spektakl Wieczorny? Co tu jest teatrem, a co nim być przestaje, stając się rzeczywistością jedyną — życiem? Na spotkaniu w Remoncie Staniewski mówi, że u nich wszystko jest proste. Droga do rozlewiska i piach, wózek, osobisty ekwipunek. Ale czy rzeczywiście? Staniewski w swoich wypowiedziach często przy-

Skarpetki wasze mokre, wyschną prędko.

Drobne gałązki z trzaskiem poddają się językom ognia. Miło, przytulnie. Tradycyjnie bielone izby aż lśnią od czystości.

— A byli, byli. Zosia była, dobrze pamiętam. I Pietrek był. Nagrywali. Jak potem słuchałam i poznać nie mogłam, że to ja śpiewam. A cudem tu różne wyprawiali. Latali po wsi, ganiłi się, krzyczeli, aż ludzie wybiegali i się dziwowali. I dzieciarnia z wytrzeszczonymi ślipkami za nimi...

— A na wieczór pani pójdzie?

grywać się „akcją”. Po krótkiej chwili ludzie są już ustawieni ciasnym półkolem i zapada cisza. Jest to hasło do rozpoczęcia.

Z przeciętej pośrodku kurtyny, na pełnym biegu, wyjeżdża wózek, na jego płaskim dnie leży półnagi człowiek, oświetlony — przymocowanymi na bokach i rogach — zniczami. Dwóch aktorów kręci wózek w zawrotnym kole, leżący człowiek robi tzw. mostek. Twarz i wysoko uniesiona klatka piersiowa połyskują i migają w rozhuśtanych płomieniach. Słowa, które wykrzykuje, są zaproszeniem do udziału w spektak-

Świat urwany



woluje się na Włodzimierza Pawluczuka, przytaczając jego poglądy dla teoretycznego uzasadnienia swojej pracy. O Wyprawie twierdzi, że jest ona dla „Gardzienic” sposobem bycia w takim sensie, jak ją definiuje Pawluczuk: „sposobem orientacji w świecie i regulacji zachowań ze względu na odczuwany i rozumiany sens znaków i rzeczy, kształtujący specyficzny obraz świata jako całości”. Musiały nastąpić kolejne etapy konstituowania się tejsamowiedzy: Wyprawa jako koncepcja, jedna z możliwych form samorealizacji; przygotowania i przymierzania się do pierwszej; następne wybór potwierdziły. Przy takim pojmowaniu wszystko, co robi zespół w Gardzienicach: godziny ćwiczeń sprawnościowych, śpiewów, przygotowywanie rekwizytów do spektaklu, nagrywanie pieśni najpopularniejszych w terenie, który będzie obszarem następnego „najazdu” — jest tą samą, nieustannie kontynuowaną, Wyprawą.

Można powiedzieć, że teatr Staniewskiego, to próba przestania bycia teatrem — połączenie metafizycznej drogi ku człowiekowi z realną, często dokuczliwą i wymagającą ogromnego wysiłku. Tu nie ma miejsca na „teatralne oszustwo”.

Kiedy kolorowy wóz wjeżdża na ulicę, wieś się ożywia. Migają za płotami barwne chusty, ciekawe oczy uważnie i chciwie chłoną niezwykle widok, życzliwe głosy odpowiadają na dzień dobry.

A zespół już za chwilę, z muzyką i pieśnią, pójdzie po chałupach zapraszać na wieczorne spotkanie. Bez zbędne usta pani Marii, rencistki, u której kilka osób ma zapewniony odpoczynek, wyspiewują wysokim głosem zadzierzyscie:

Oj chotieła mniemie mat'
Toj za platoho oddat'
A toj piatyj pianica praklatyj
Oj nie oddaj mienia mat'

— O, mój to był z dobrych najlepszych... Tylko, co zrobić, umarło mu się młodo. A ja już nie szukała i starość przyszła. Co tam. Dawne wspominki... Ludce, tej się poszczęściło. Do Ameryki poszła, teraz kolorowe zdymki przysyła. Ale ona i krasawica była! — pani Maria z zachwytem cmoka. — Podłóż jeszcze do pieca.

— Jakżeby nie! Zaraz będę się szykować.

Wychodzę. Ściemniło się. Mrok rozjaśniają skąpe światła uliczne. Po drodze spotykam Staniewskiego i — towarzyszących mu w Wyprawie nie pierwszy raz — teatrologia Zbigniewa Osińskiego i socjologa Włodzimierza Pawluczuka. Idziemy w milczeniu. Przyciszone szmery rozmów mijających nas ludzi, cienie postaci wśród nisko osadzonych chat. Przed nami jedna z nich — miejsce Zgromadzenia. Małe okna promieniują ciepłym blaskiem świateł.

Tak właśnie powinno wyglądać stanowisko widza — mówi Staniewski. A po chwili milczenia uzupełnia: — Ciągnie mnie ta chałupa.

Włodzimierz Pawluczuk dodaje: — Tak, jak kiedyś na wsi wesele, a wokół chaty zgromadzony lud, zaglądający do okien. Szmer rozmów, prześmiewki i obgadywania.

Wewnątrz uderzająca prostota ciemnych ścian. Ludzi pełna izba — od siedzących na podłodze, po stojących na ławach i sięgających niskiego sufitu.

Wybuch pieśni „Gardzienic”, znana tutaj i popularna. Pierwsze podchwytują siedzące najbliżej staruszki. Włącza się jakiś dalszy męski głos. Coraz cieplej. Byszcza oczy dzieci.

— Bez braw, tylko bez braw! — to Staniewski. — Nie chcemy braw, my wam piosenkę i wy nam piosenkę!

I tak rodzi się wspólne śpiewanie. Nakładają się wysokie, srebrne głosy kobiet i basy chłopców z zespołu. Na przemian skoczność i nostalgia. Gdzieś daleko, poza chałupę i poza wieś, patrzą oczy śpiewających. W kulminacyjnym momencie, kiedy już nikogo nie trzeba namawiać na śpiewanie, a próby klaskania są poza myślą — następuje zaproszenie na spektakl.

Miejsce jest już przygotowane. Nie opodal chałupy jaśnieje ogromna „kurtyna” — białe płótno, przeciągnięte na szerokość ulicy, od drzewa do drzewa. Przed nim szerokie półkole zataczają płonące już znicze, chwiejące się na wietrze i rozjaśniające miejsce, na którym będzie roz-

lu. Ludzi na przemian ogarnia, to śmiech, to zdziwienie, że porozbiernym aktorom nie zimno na takim chłodzie. Podziwiają wysoką sprawność i kunszt aktorski. Co chwila rozlegają się okrzyki dzieciarni i pisaki wystraszone lub kokietliwie udających wystraszenie kobiet.

Spektakl jest bardzo żywy, nie ma żadnych przerw. „Niekiedy w ułamku sekundy zmienia się zasadniczo nastrój i tonacja, od powagi i wzniosłości do błazenady. Nie ma ciągu fabularnego, brak ciągłości psychologicznej: jeden aktor czy aktorka gra kilka postaci, i raczej demonstrować określony typ ludzki, niż pokazywać konkretnego człowieka. Groteskowe przerysowanie, gwałtowne przechodzenie z obrazu w obraz, zaskakiwanie sceny na scenę — to najbardziej charakterystyczne cechy poetyki tego teatru” — twierdzi Zbigniew Osiński. Rolę organizującą autor przypisuje rytmowi:

„Jego prawom poddane są wszystkie składniki i elementy; muzyka, taniec, śpiew, gesty i działania aktorów. Spektakl — analizuje dalej — jest gwałtownie kontrapunktowany, znamionuje go pełna ambiwalencja, gra przeciwnych znaczeń. Odbiera się go w jego ekstatycznym potoku, dynamice — również obrazami i skojarzeniami”. I w tym kryje się tajemnica tak bezpośrednich reakcji na to, co się „dzieje”. Niknie dystans między widzem i grającymi, spontaniczność okrzyków z tłumu dodaje aktorom energii, spektakl przestaje być „przedstawieniem”, które przyszło się obejrzeć, staje się na oczach wszystkich, jest wydarzeniem w cichym życiu wsi, o którym długo przyjeźdnym będzie się opowiadać w tonacji niezwykłości i sensacji.

W Klubie Rolnika już podłoga ułana śpiworami. W kątach czyha sen. Jest dobrze po północy, ale trzeba omówić najważniejsze sprawy, przeanalizować przebieg spektaklu. Powstaje pytanie, jak pogodzić formę i żywioł. Formę, która przez swą doskonałość przestaje być dostrzegalna dla widza, i pozostaje żywioł, jak zawsze niebezpieczny, gdy się nie ma nad nim panowania. Okazuje się, że nie wszyscy zauwa-



zyli incydent, bardzo niebezpieczny, kiedy to w jednym z drastyczniejszych momentów spektaklu stojący na uboczu mężczyzna podniósł kamień, zamierzył się... Na szczęście interwencja czuwającego nad wszystkim Staniewskiego przyszła w porę.

Między Florencją a Sieną leży górskie, niewielkie miasteczko Wolterra. Wąskie uliczki, stare, zabytkowe budowle, zapraszają do pieszych wędrówek, a ruiny starożytnego teatru nawołują do porównań ze współczesnością, z formami artystycznych wypowiedzi, każąc myśleć o ciągłości twórczego wysiłku pokoleń, wieków i epok.

Właśnie to miasto, a w nim Akademia Muzyczna, jest siedzibą tegorocznej sesji Międzynarodowej Szkoły Antropologii Teatru, zwanej w skrócie ISTA. Jest w historii awangardy teatralnej czymś nowym. Została powołana w ubiegłym roku przez twórcę „Odin Teatret”, Eugenio Barbę — z urodzenia Włocha, ale w poszukiwaniach teatralnych i towarzyszących im podróży, odbywanym wspólnie ze swoją grupą teatralną — obywatela świata. Działania teatralne prowadził początkowo we Włoszech, następnie w Peru, Wenezueli, w dorzeczu Orinoko — wśród Indian. Podróże i pobyty u ludzi o różnych kulturach, doświadczeniach i sposobach życia zaważyły na jego dalszych zamierzeniach. Stąd powołanie ISTA, której ambicją jest zebranie doświadczonych teatralnych wszystkich czasów i kultur, spojenie ich i wykorzystanie w bezpośredniej pracy aktorskiej i reżyserskiej.

Zgodnie z zamierzeniami teoretycznymi — w zajęciach warsztatowych, pokazach i wykładach biorą udział aktorzy wszystkich kontynentów, zaproszone teatry z Japonii, wyspy Bali, Indii.

Praca rozpoczyna się o szóstej ćwiczeniami podzespołów. Każdy z nich (a jest ich kilkanaście) ma swego nauczyciela, którym jest najczęściej członek zespołu Barby.

sy. Na ścianie widoczny napis: „silenzio”, poparty wykrzyknikiem — obowiązkuje bezwzględna cisza.

Czołową aktorką „Odin Teatret” jest Iben, której pokaz zajmuje jeden z wieczorów. Przed pokazem, złożonym z przedstawianych przez Iben własnych sposobów dochodzenia do perfekcji warsztatowej oraz fragmentów spektakli, Barba w kilku słowach zapowiada: — Z Iben jesteśmy razem w teatrze prawie dwadzieścia lat. To dużo... Każde drzewo ma swoje korzenie. Iben jest jak piękne drzewo, które korzenie swoje odnalazło w teatrze.

Duża sala jest zapełniona ludźmi, siedzącymi przeważnie na podłodze. U wszystkich boscie stopy, na twarzach skupienie. Iben mówi po angielsku; po pierwszym półdaniu gwar tłumaczeń uderza o ściany. Francuski i hiszpański, portugalski, włoski, japoński zderzają się we wzajemnych przekrzykiwaniach.

Jestem w uprzywilejowanej sytuacji — tłumaczka siedzi obok mnie i bez trudu słyszę każde słowo.

— Mówi o tym, jak pracuje nad eksperesją ruchową. Ciało musi umieć iść w każdym kierunku, w różnych też rytmach. Przez ćwiczenia, które za chwilę pokaże, można możliwości ruchowe rozszerzyć.

Iben wykonuje szereg ćwiczeń z ogromną sprawnością i harmonią. Przewroki na plecach, bokiem, bez dotykania głową ziemi, przez ramie, potem stanie na łokciach, przetruty — ani sekundy bezruchu. Robi to zadziwiające wrażenie szczególnie wtedy, gdy ruchy są tak powolne, że ich prawie nie widać. Giętkość i plastyczność ciała: od gładkiego, wymuszanego ruchu węża po nagłe skoki, gwałtowne zwroty, niespodziewane gesty. Mija godzina. Spoczęła twarz aktorki, ciemno-brązowe plamy potu na podkoszulce. Po ćwiczeniach sprawnościowych przechodzi kolej na głosowe, poprzedzone krótkim wprowadzeniem: — W życiu codziennym w znikomym tylko stopniu używamy naszych moż-

cie ma się nieodparte wrażenie, że raz mówi szczyt głowy, to znów ramie czy noga.

Potem następują ćwiczenia z przedmiotami: długą, czerwoną wstęgą, która razem z Iben wiję się jakby zaczarowana przez jej dłonie; laską, posłuszną i współbrzmiającą z głosem Iben, bębenkiem. We wszystkich niezmienna maestia.

Po krótkiej przerwie fragmenty spektaklu opartego na utworach Dostojewskiego. Następuje demonstracja dwóch sztucznych języków, mających naśladować francuski i rosyjski. Padają słowa, których nigdzie nie ma, których nie zna obywatel świata; nie posiadające znaczeń. Ale ucho chwytą rosyjską śpiewność, francuski wyrazisty akcent.

Pokaz ma się ku końcowi. Iben jest już bardzo zmęczona; podkoszulkę można wykręcać, mokre spodnie, cała twarz zroszona potem. Z opowiadań Iben wynika, że nawet spacer nie odbywają się bez interesownie — zabiera na nie instrumenty do ćwiczenia rytmu. Rodzi się pytanie, na które nie ma odpowiedzi, pytanie kogoś obcego w teatrze: „Kosztuje czego? To sens życia Iben jej czterdziestu lat?”

W ramach uświadomienia aktorom europejskim odmienności form teatru innych kultur odbywają się występy gości tegorocznej ISTA. Pierwszy występuje teatr japoński. Aktor w samurajskim, białoniebieskim, stroju i wiotka dziewczyna w sukni z długim trenem, w ogromnym kapeluszu na kunsztownie upiętych włosach. Jej taniec przy muzyce fletu jest tak subtelny, ruchy tak wypolerowane, że ma się wrażenie materializowania się powietrza pod ich głaszczącym dotykiem. I samuraj, w codziennych spotkaniach — przy śniadaniu, na odczycie — niczym od pozostałych się nie różniący, tutaj oszołomił gwałtownością gestów, wymową oczu, na przemian syplących iskrami gniewu, to znów łagodnych

w każdym calu; razem z nim tańczą bransolety i naszyjniki, których blaski podkreślają ruchy tancerki — ma się wrażenie, że każdy palec i każdy włos tańczy.

Obecność na ISTA teatrów orientalnych nie jest przypadkiem — dla Europy są one przykładem formy doskonale, wypracowanej i trwającej wieki; formy, w której każdy ruch oka i każdy gest ma swoje znaczenie, jest do odczytania dla kogoś, kto ten język zna. Fascynacja kulturą Wschodu, jego filozofią religijną i sztuką, przeniknęła do teatru, a w Międzynarodowej Szkole Antropologii przybiera formę wspólnych poszukiwań, dzielenia się doświadczeniami, wzajemnego uczenia się.

Kilka miesięcy wcześniej, w odległym o parę kilometrów od Wolterra miasteczku Panzano odbyła się kilkunastodniowa sesja, poświęcona obrządkom tradycjom i ich teatrowości funkcji, ceremoniom i rytuałom religijnym jako najistotniejszym źródłom teatru europejskiego. Właśnie w ramach sesji teatr z Pontadery, aktor Julietto Scabia i „Gardzienice” przedstawiają swoje spektakle. Na miejsce pokazów zostaje wybrany klasztor w Sinke i jego okolice.

Jest słoneczne, niedzielne popołudnie. Koło klasztoru poważne rozmowy naukowców zajmujących się teatrem, obrzędami religijnymi, ludowymi; aktorzy, ludzie z okolic, dzieciarnia biegająca po skałach i beztrosko swawoląca. W tym gwarze rozlega się, w pierwszej chwili ledwo słyszalna, ale coraz wyraźniejsza w tworzącej się ciszy, muzyka fletu. Nie wiadomo kto gra, czy zebranych zwracają się w kierunku, z którego dochodzi dźwięk. I nagle na rześciste oświetlonej słońcem skałę wskakuje diabeł. Jest czerwony i czarny, ma długie, zakręcone ogony, na skale wydaje się potężny, ale i śmieszny. Opowiada o swojej wszechmocy, o tym, że nikt nie potrafi go pokonać. Wyraziste gesty dokumentują słowa.

I oto równie nagle, ku ucieście widzów, zostaje spętany przez archaniola Michała, unieszkodliwiony. Anioł prowadzi go ze skały, a skruszony diabeł rozda wszystkim kartki ze swoim wizerunkiem i modlitwą na odwrocie:

„Pomóż, o przechodzący, pomóż
biednemu diabłu
Aby mógł stać się człowiekiem.
Jest zmęczony kuszeniem,
przyrzeczeniami wszechmocy
Jest już wszystkim zmęczony.
On już wie: każde kłamstwo
skazuje kłamiącego.
Ważny jest nie tylko cel
Ważna jest droga którą może
do was trafić.
Ta droga jest początkiem prawdy.
Nie umiem jeszcze żyć podług
tego co wiem
Ale możesz mi pomóc — zechciej
choć spróbować.
Chyba nie myślisz że to kolejne
oszustwo diabła?”

Stojący w drzwiach kaplicy ojciec Giovanni wyjmując okulary, czyta modlitwę. Odrzuca oczy od kartki, uśmiecha się i szerokim gestem zaprasza diabła do środka. Ten wchodzi, a za nim ludzie. Diabeł, czyli Julietto Scabia, podchodzi do ołtarza, zdejmując Biblię i kładzie na jej miejscu rękopis swego dzieła. Ludzie w ciszy obserwują. Otwiera i zaczyna czytać długi traktat o roli diabła w rozwoju ludzkości, o jego zasługach i samej istocie diabelskiej natury. Trwa to godzinę, wszyscy słuchają w skupieniu — analizy dramatu diabła, teorii relacji dobra i zła, które od zarania naszej kultury diabeł uosabia.

Istotą dramatu jest — starcie się podstawowych przeciwieństw moralnych. Julietto Scabia mówi o najwyższym, wiecznym wymiarze tego dramatu. Przekonuje, że anioł, gdyby nie występował obok diabła, gdyby nie musiał mu przeciwstawić swoich zalet — byłby śmieszny i niepotrzebny. Dokonuje tego wywodu stojąc w miejscu, gdzie codziennie padro Giovanni, ojciec zakonu służących Marii, wygłasza swoje moralne nauki. I czyni to za jego przyzwoleniem.

Człowiek od wieków dąży do zniesienia przeciwieństw, do zbudowania świata nie uwiązanego do kolejnych twierdzeń i ich negacji; świata, który byłby ponad te przeciwieństwa. Wydaje się, że padro Giovanni, zapraszający diabła z jego diabelskimi, z punktu widzenia tradycyjnego Kościoła, naukami, daje takiemu zwycięstwu wyraz.

IRENA BOROWIK

ze smyczy



Wielkiemu wysiłkowi towarzyszy zakonna dyscyplina, a działania w grupach są otoczone tajemnicą.

Jeszcze sen drzemie w kątach korytarzy i za oknem dopiero świta, a już się spotyka ciągnące po cichu grupki i pojedyncze osoby w roboczych ubraniach: luźnej bluzie i szerokich, w pasie ściągniętych tasiemką, spodniach.

Uczestniczyć ani obserwować nie można: do korytarza dociera tylko jęk skrzypiec, ponagający bębenek, czasem niski, gardłowy krzyk albo odgłos padającego ciała. Uchylone drzwi odsłaniają tajemnicę pokoiów zamieszkiwanych przez aktorów: materace porozkładane na podłodze, nie dopita herbata w szklance, na krześle jakieś książki, papiero-

liwość głosowych, narządów mowy i rezonatorów: krtani, klatki piersiowej i jamy brzusznej. Zademonstruję teraz, do jakich rezultatów doszłam przez pracę, obserwację natury, instrumentów muzycznych i różnych niezwykłych sytuacji życiowych. Ważny jest kierunek, w jakim idzie głos; czy, na przykład, do którejś mojej dłoni, czy też do głowy. Od tego zależy wysokość dźwięków. Ważna też jest odległość; czy ktoś, do kogo mówię, stoi obok mnie, czy za mną.

Wachlarz możliwości Iben: od przenikliwych, wysokich tonów, które brzmią jak kosmiczne sygnały i ma się chęć zasłonić czymś uszy, do tak niskich, że trudno uwierzyć w autorstwo człowieka. Rzeczywi-

i proszących; zmienną modulację głosu — od śpiewnego szeptania po gardłowe, urywane okrzyki.

Ognisty taniec Hinduski Teresy: ciało zdaje się nie dotykać ziemi. Nie pada ani jedno słowo, a opowieść o dziewczynie, jej młodości, szczęściu, miłości i tragicznej śmierci jest zrozumiała dla wszystkich.

Z największym aplauzem spotyka się taniec jedenastoletniej dziewczynki z Bali, której towarzyszą samorodni muzycy — dziadkowie bijący w różne bębny i bębniaki z zapamiętaniem, zatopieni bez reszty w szybkim rytmie. Na sali są obecni tylko pozornie, a tak naprawdę — w świecie ekstazy. Rytm muzyki jest szybki, ucho ledwo nadąża, a to dziecko jest z nim zgodne



DOKOŃCZENIE ZE STR. 1

usprawiedliwić kryzysem. Jak mieszkam sześć lat, to może przez rok miałem z dachem spokój; ciągle ciekło: jak nie w pokoju, to w kuchni. Kiedy przyjdzie jakiś objibok, zrobi, to następnego dnia leć po komisję albo kolejnych wykonawców. Zamiast nowego okna, dopasowanego do futryny, przybili gwoździemi stare. Większy wiaterek powieje, to znowu leci z trzaskiem.

MARIAN KAZAN: — Nic nie wiedziałem, że coś, gdzieś, komuś cieknie.

ZBIGNIEW WOJTKOWSKI: — Jak to nie? Byłem u naczelnika i osobiście odwiedziłem pana w gabinecie. Pan powiedział: dobrze, załatwimy to. Zapisal mnie w kalendarzu, i to jeszcze na jesieni ubiegłego roku. W tym roku, w maju, parę razy chodziłem do referatu. Tam też mi mówili: dobrze, dzisiaj, pojutrze. A potem stara śpiewka: nie ma lepiku, papy. Ten blok przy ulicy i Maja w pół roku po postawieniu zaczął przeciekać i przecieka do dziś.

MARIAN KAZAN: — Nie wiem, był pan czy nie. Obiecuję, że sprawę zbadam.

Z SZABLĄ NA BIEGUNKE

STANISŁAW MALINOWSKI: — Moje dziecko skończyło 12 miesięcy i 29 dni — straciło tym samym prawo do mleka w proszku. Mały płacze, żona krzyczy, a ja biegam od urzędu do urzędu po dodatkowy przydział, bo kto zaryzykuje podanie dziecku mleka butelkowego?

TEKLA PIETRZAK: — Niestety, ale sprzedaż tego gatunku mleka ściśle określa instrukcja.

Z SALI: — Czy jest możliwość zwiększenia zawartości tłuszczu w mleku butelkowym, przynajmniej dla małych dzieci?

EDWARD SZAFRANKOWSKI: — O zawartości tłuszczu w mleku decyduje wojewoda.

„KONTAKTY”: — Czy pan naczelnik występował z wnioskiem o lepsze mleko dla najmłodszych?

JÓZEF CHRZANOWSKI: — W roku 1978; otrzymałem odpowiedź negatywną. Jeśli istnieje potrzeba, ponownie proszę.

HALINA KONARZEWSKA: — Dziecko trzeba przyzwyczajać do mleka od krowy, bo ono daje apetyt i zwalcza biegunkę. Jeśli dziecko ma umrzeć, to szybciej umiera od mleka w proszku. Są ważniejsze problemy do omówienia: Oto żyją ludzie, którzy przepracowali po 35 lat, a obecnie są emerytami, chorują i nie mają co jeść; stanie godzinami w kolejkach, to wysiłek ponad ich możliwości. Po to pracowaliśmy całe życie, aby rentowymi banknotami wykładać ściany?

Z SALI: — Pani na wsi nie pracuje, to może stać.

HALINA KONARZEWSKA: — A kto się napracował? Ja brałam dzieci na rękę i szłam do bogatego gospodarza zarobić woreczek kartofli. A i dziś, choć mieszkam w Wysockim chowam trzy prosiaczki, jałówkę, i nie grozę jak chłop, że zarżnę, bo nie opłaci mi się ich chować, tylko pasę po rowach i trawnikach, bo wiem, że z jałówki musi wyrosnąć ładna, duża krowa. To rząd winien, że chłop krzyczy na nas: legaty! Jak myśmy pracowali, to miała i wieś, i miasto, a napłynęli ci ze wsi, to nikt nic nie ma. Przenaczyli jeden sklep dla rencistów, w którym można prędzej skończyć niż co dostać — jak na ironię — bliźniak ementarza. Toż jak człowiek nie kupi, jeszcze z rozpacz do jakiej trumny spadnie. Czy władze nie są w stanie zapewnić nam choć 10 dekagramów mięsa dziennie?

Z SALI: — Zawsze do nas, chłopów, wołano tylko: daj! Teraz krzyczą o żywicie, a wyłączają się nam światło podczas obrządku. Jeśli zabieracie elektryczność, to oddajcie lampę naftową.

JÓZEF CHRZANOWSKI: — My na to nic nie poradzimy. Wyłączenia są i będą.

Z SALI: — Nam wyłączacie wieczorem, a sobie, panie naczelniku, palicie nawet w dzień. Niedawno już od południa paliły się wszystkie latarnie. Jak to pogodzić z oszczędnością?

JÓZEF CHRZANOWSKI: — Zdarza się, że i o ósmej rano pali się światło; nie można naprawić linii bez wyłączenia żarówek, bo wtedy nie wiadomo, która zepsuta.

Z SALI: — I to w całym mieście? Do czego są wyłączniki?

JÓZEF CHRZANOWSKI: — Co?! Jutro skieruję polecenie do dyrektora Rejonu Energetycznego.

GRZEBIEŃ W ŚMIETANKOWYM SOSIE

„KONTAKTY”: — Dlaczego przychliło wysokomazowieckie targowisko, które było tam, gdzie obecnie dworzec PKS-u? Teraz jest przy ulicy Waryńskiego, leżąc plac skubie budownictwo mieszkaniowe.

JÓZEF CHRZANOWSKI: — Bo obok powstaje zlewnia mleka. Przyznaję, że w przeszłości popełniono wiele błędów: ściągaliśmy chłopów za to, że przyjeżdżali targować, były dodatkowe kontrole, sypały się mandaty, i powoli zanikła tradycja targów. Za powiatu sprowadzaliśmy nawet orkiestrę, by grała w dni targowe. Będziemy się starać, aby targowisko odzyskało dawną świetność.

„KONTAKTY”: — Dlaczego wyburzono dom Marii Gąsowskiej i skazano ją na dożywocie w katastrofalnych warunkach? Jak długo będzie oczekiwać na własny kąt?

JÓZEF CHRZANOWSKI: — Pani Gąsowska samowolnie zajęła mieszkanie spółdzielcze.

Z SALI: — To nie o tą chodzi, panie naczelniku.

JÓZEF CHRZANOWSKI: — Aha, przepraszam. Miałam stary budynek i trzeba było go wyburzyć. Powstał na tym miejscu pawilon. Pani Gąsowska dostała pokój z kuchnią z puli Rady Narodowej i uważam, że na jedną osobę to wystarczy.

„KONTAKTY”: — W liście do nas pisze, że mieszka w pomieszczeniu urządzającym podstawowym warunkom higienicznym.

JÓZEF CHRZANOWSKI: Można



to sprawdzić. Mieszkanie niczego sobie, a że nie pali w piecu, ma plesń, to ja temu nie jestem winien. Przedtem mieszkała w walącym się budynku, bez wody i we.

„KONTAKTY”: — Zakład Przetwórstwa Owocowo-Warzywnego wyprodukuje w tym roku prawie trzy miliony litrów wina. Kiedy zainteresuje się takimi wyrobami, jak dżemy, marmolady?

JAN PRACZ: — Pracujemy jak w manufakturze. Dżemów nie wytwarzamy, bo nie mamy odpowiednich urządzeń.

„KONTAKTY”: — Zakład rozlewa olej rzepakowy, którym miał — jak zapowiadano — zalać całą Polskę, a tymczasem nigdzie go nie uświadczysz. Gdzie on się podziewa?

JAN PRACZ: — Dzielimy według rozdzielnika krajowego.

„KONTAKTY”: — Przetwórnia wróciła do tradycyjnej, cukrochłonnej fermentacji win. Ile dodatkowo otrzymała cukru na ten cel?

JAN PRACZ: — Dostaliśmy na produkcję win i soków wysoko słodzonych prawie sto ton.

Z SALI: — Otrzymujemy najgorszy ser; nie dość że chudy, to zbity i kwaśny.

EDWARD SZAFRANKOWSKI: — Są partie mleka, z którego otrzymujemy taki ser. Nie przeczę, że może przyczyniać się do tego także obróbka w zakładzie. Dlaczego? Wiadomo, że rolnik stosuje różne środki, aby mleko nie skwaśniało się: sypie sodę, niektórzy nawet proszek do prania, wapno.

„KONTAKTY”: — Dlaczego więcej mleka przeznaczają się na kazeinę niż na ser żółty, gdy grzebieni mamy przecież dosyć, a żywności nie za wiele?

EDWARD SZAFRANKOWSKI: — Zakład mleczarski ma ograniczoną moc przerobową; możemy w miesiącu wypuścić około 150 ton sera żółtego; kazeina jest złym koniecznym. W tej chwili i tak przerabiamy cztery razy więcej mleka.

Z SALI: — Dlaczego brakuje śmietany?

EDWARD SZAFRANKOWSKI: — Produkcja śmietany jest limitowana. Od 9 sierpnia br., decyzją resortu, zmniejszono zawartość tłuszczu w śmietanie o 1/4 w stosunku do produkowanej w ubiegłym roku. Obowiązuje to w całym kraju.

STANISŁAW MALINOWSKI: — W Łapach dostałem śmietanę 18-pro-

centową, i to późnym popołudniem. U nas dobrze jeśli jest dziewiątka. Czy nie jest to dyskryminacja?

EDWARD SZAFRANKOWSKI: — Niemożliwe. Dyrektywa obowiązuje wszędzie.

„KONTAKTY”: — Gdy wejdą w życie trzy „S”, jaką śmietanę zaserruje klientom zakład?

EDWARD SZAFRANKOWSKI: — Czy będziemy mogli wrócić do osiemnastki? Trudno mi powiedzieć.

BARBARA KRASOWSKA: — A ile każecie płacić ludziom za mleko?

EDWARD SZAFRANKOWSKI: — Każda mleczarnia nie będzie ustalała oddzielnie cen. Chcielibyśmy, by były opłacalne, także dla rolnika. Kryterium klasyfikowania powinna być tylko zawartość tłuszczu, gdy teraz bierze się pod uwagę również białko.

MAREK SKARŻYŃSKI: — Czy jest możliwość otwarcia w Wysockim sklepu, który zaopatrywałby matki w ciuszki dla małych dzieci, oraz sklepu lub stoiska firmowego z wyrobami mleczarskimi, wyprodukowanymi ponad plan?

TEKLA PIETRZAK: — Na razie nie ma o czym dyskutować, bo nie ma tyle towaru, aby otwierać samodzielny sklep. Ale są takie sytuacje, że mąż siedzi w samochodzie lub stoi za sklepem, a matka z dzieckiem tłoczy się w kolejce.

EDWARD SZAFRANKOWSKI: — Nie mamy aż takiej nadprodukcji naszych wyrobów, by uruchamiać sklep firmowy.

Z SALI: — Wino w „Jagiellonce” sprzedawane jest szklankami. Wylewa się, stoliki są lepkie, brudne.

TEKLA PIETRZAK: — Osobiście zabroniłam dostaw wina do tego lokalu, ale kierownictwo i personel zainteresowany jest jego sprzedażą, bo mają większy profit. Walczę, żeby tego nie było, ale oni sami ściągają wino bezpośrednio z Łomży.

ZENOBIUSZ LEWCZUK: — Czym kieruje się WSS, przydzielając mięso do rozprowadzania w zakładach pracy?

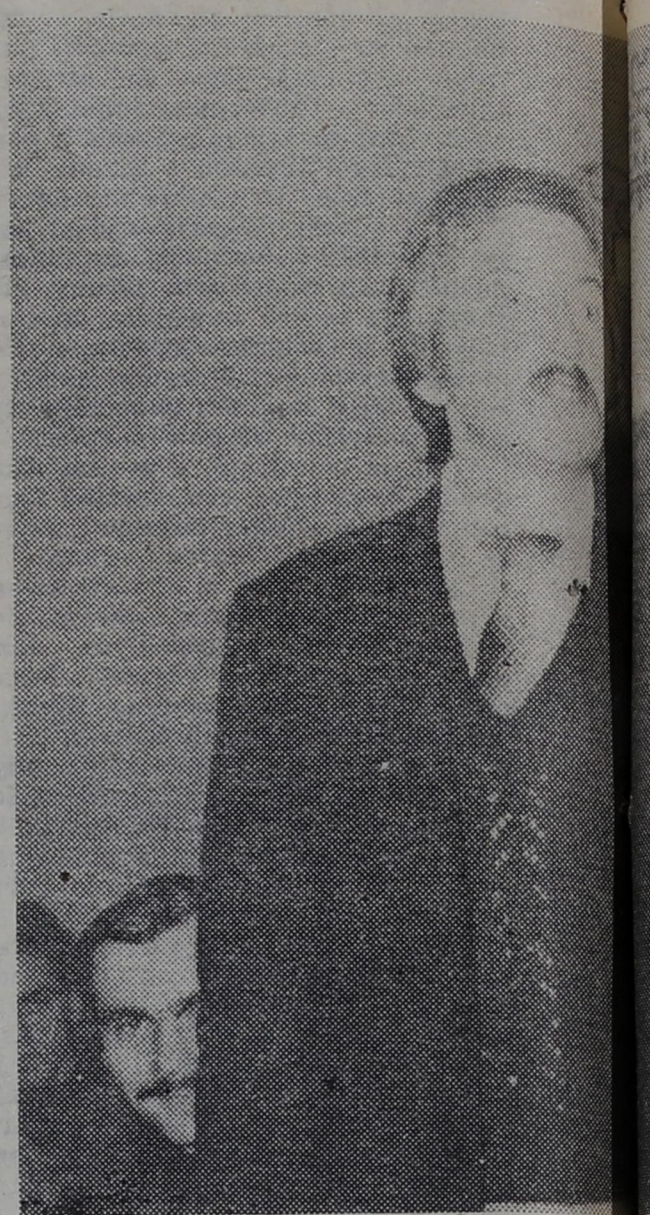
TEKLA PIETRZAK: — Jako pierwsi w województwie, a może i w kraju, wprowadziliśmy formę sprzedaży przez zakłady. Zaopatrujemy je przez trzy sklepy, trzy razy w tygodniu.

JÓZEF POLIŃSKI: — WSS robi nas w konia! Zachodzimy do sklepu po mięso dla zakładu. Najpierw pojemniki były zaplombowane, ale nie wiadomo kiedy zostały otwarte i w każdym po trochu brakowało. Zapytałam pani prezes WSS-u, co tu jest grane, i usłyszałam, że ekspedientki wzięły w sumie kilogram szynki, kilogram schabu. Trudno mi określić, ile rzeczywiście brakowało: 50 czy 100 kilogramów.

TEKLA PIETRZAK: — To rozprowadzanie mięsa przez zakłady pracy wzięliśmy dodatkowo. Ale w związku z tym, że mamy taką wdzięczność społeczeństwa, kończymy tę zabawę. W konkretnym przypadku pozwoliliśmy sklepowej wziąć trochę mięsa i wpisać do kontrolki. A pan cepia się; chyba za długo siedział w „Jagiellonce”.

JÓZEF CHRZANOWSKI: — Rzeczywiście, trudny obowiązek przypadł WSS-owi, i jako społeczeństwo powinniśmy mu pomagać, ale z tej formy dystrybucji mięsa zrezygnować nie można.

Z SALI: — Pewnie że nie!



PARAWAN Z MINISTRA

„KONTAKTY”: — Miał być rozbudowany szpital i... cisza.

JAN DĄBROWSKI: — Ciszy nie ma, bo hałasujemy porządnie. Dokumentacja przygotowana, działka wykupiona. Rozbudowa szpitala może rozpocząć się jednak dopiero od wzniesienia kotłowni. Sprawa była na dobrej drodze: „Budopol” w Pieszku podpisał nawet umowę i miał przystąpić do pracy, ale wszystko odwołał. Robiliśmy starania przez dwa Ministerstwa: Zdrowia i Budownictwa. To drugie poleciło budowę kotłowni Przedsiębiorstwu Budownictwa Przemysłowego w Białymstoku, które miało wejść na plac właśnie teraz. Ale wicepremier wydał decyzję wstrzymania nie rozpoczętych inwestycji, co także przedsiębiorstwu jest na rękę. Do kogo się zwrócimy? Minister Budownictwa się zmienił, zaczynamy starania od początku. Nie wiem, jak przetrwamy w starym szpitalu, bo w każdej chwili grozi nam awaria. Kotłownia tam ledwo ciągnie.

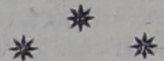
Z SALI: — A czy na wlokącą się od iks lat budowę ośrodka zdrowia w Zarebach Kościelnych też trzeba wołać ministra? Dyrektor płaci brygadzie remontowo-budowlanej za pracę od szóstej rano, a oni dopiero o ósmej wyjeżdżają z Czyżewa i o czternastej kończą robotę.

JAN DĄBROWSKI: — Brygada obecnie zabezpiecza to, co porzucił prywatny wykonawca. Jestem dyrektorem od dziesięciu dni; poleciłem przygotować wnioski o usunięcie kierownika brygady, ale nikt nie chce zająć jego miejsca.

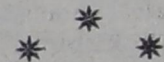




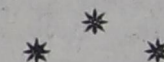
Równą godzinę trwała obsługa sześciu klientów w łomżyńskim Urzędzie Pocztowym nr 1 (12 listopada, godz. 13-14). „Panienka zokienka” musiała bowiem szkolić koleżankę z międzymiastowej, co ma robić z zamawianymi rozmowami (i tak, cztery razy literowała nazwę ulicy, zanim międzymiastowa skłoniła ją w wyraz). W ramach ćwiczeń doskonałych proponujemy literowanie takowe: Paweł, Olga, Cezary, Zenon, Tadeusz, Adam Danuta, Leon, Adam, Feliks, Adam, Cezary, Hanna, Olga, Walery, Cezary, Adam.



Bez trudu natomiast przeliterowali artykuł w „Gazecie Współczesnej”, pod tytułem „Zrób to sam” członkowie Podstawowej Organizacji Partyjnej przy Rejonie Energetycznym w Łomży. Tego samego dnia, kiedy naczytali się do syta skrzyknęli się na nadzwyczajne zebranie POP, na którym podjęto decyzję o zawieszeniu działalności organizacji do momentu ukazania się w prasie sprostowania i przeprosin. Przysięgają, że później znów zapalają płomienną miłością do dziadka Marksa. Aj, jakże mu będzie radośnie!



Wydział Komunikacji Urzędu Miejskiego w Łomży, co koń wyskoczy, ruszył w szranki z benzynowym deficytem — co parę dni wydaje nowe, stale rosnące formatem zezwolenia dla uprawnionych do zakupu paliwa bez kolejki. Są pierwsi hobbyści radośnej twórczości.



Najbardziej kompetentny do oceny zbiorów Muzeum Okręgowego w Łomży zda się być pilnujący miejscowej skarbnicy przeszłości. Tych, którzy usiłują wejść do pomieszczeń muzealnych wita w podwojach: — Po co? By nagrodzić gorliwość proponujemy też dać mu tabliczkę: „Eksponat wartościowy — godzin o-bejrzenia”.



Rozgryźliśmy cel pielgrzymek Łomżyńskich na ulicę Turlejskiego 13 (barak): za szybką, prosperującą tam przed pół rokiem kiosk podziwiać można dowolnie kilkadziesiąt puszek mięsnych pulpecików z jarzynami, herbatę i parę innych wiktuałów oraz pożywkę kartkę: „Do likwidacji”. Skoro jest jeszcze co likwidować, o kryzys możemy być spokojni.



Handel wciąż czuwa i główkuje, co by tu jeszcze usprawnić, kiedy coś nieopatrznie wpadnie na sklepowe półki. Na przykład przy ulicy Sadowej w Łomży sklep się wówczas zamyka i kolejka — czy deszcz czy słońce — stoi na dworze, a ekspedientki podają przez szparę w drzwiach po kawałku wołowej kielbasy. Socjologowie prognozują, że przy takim traktowaniu wkrótce kolejkowicze będą tylko grzecznie wołać: „Hau, hau” i merdać ogonkami.



nie zorganizować nam bezpośredniego połączenia ani z Warszawą, ani z Łomżą.

„KONTAKTY”: — Kasy autobusowe gnieźdzą się w klitce, a obok stoi nie wykorzystana remiza strażacka.

JOZEF CHRZANOWSKI: — Zajmujemy się tym od dziesięciu lat. Ostatnio podpisaliśmy porozumienie z OSP: ja zobowiązałem się wybudować remizę dla Ochotniczej Straży Pożarnej, natomiast OSP przekazała nieodpłatnie tę przy Rynku, a PKS umieści w niej poczekalnię autobusową z prawdziwego zdarzenia. Ponadto zlecieliśmy wykonanie dokumentacji pod budowę zajezdni PKS-u w rejonie ulic Kościuszk, Długiej i Rynku.

KLUCZ W STOGU SIANA

MAREK SKARŻYŃSKI: — Nie dziwię się, że władze miejsko-gminne nie są w stanie odpowiedzieć na wiele pytań. Brałem dziś udział w ich spotkaniu z wojewodami, dyrektorami wydziałów UW i innych jednostek wojewódzkich; chodziło o wyegzekwowanie ważnych dla mieszkańców Wysokiego spraw. Niestety, stosunek władz wojewódzkich do naszych problemów jest enigmatyczny: umiejętnie unikają sedna. Ja, na przykład, stawiałem sprawę młodzieży: w listopadzie ubiegłego roku podpisaliśmy z władzami miejsko-gminnymi umowę społeczną o przekazanie na rok naszego domu młodzieży na przedszkole. Przewodniczący Wojewódzkiej Komisji Planowania, Stanisław Grodzki zapewniał bowiem wówczas, że sprawa przedszkola to kwestia 1981 roku. W tym, powiedział, że jest w planie na lata 1981-1985. Dziś zaś jego zastępca poinformował, że sprawa przesuwana się na jeszcze dalsze lata. I tak jest ze wszystkim; choćby z budownictwem mieszkaniowym. Wysokie Mazowieckie jest w najgorszej sytuacji w województwie, a region — w Polsce, jesteśmy więc pod względem rozwoju mieszkaniówki upośledzeni. Władze wojewódzkie nie widzą jednak możliwości poprawy sytuacji. My proponujemy temu zaradzić przez budowę domków jednorodzinnych. Naczelnik natomiast powinien wyjaśnić, dlaczego zawałono sprawę kolektora i przepompowni ścieków? Bo przez to do 1985 będziemy w Mazowieckim realizowali zaledwie jeden-dwa obiekty mieszkalne rocznie.

JOZEF CHRZANOWSKI: — Rzeczywiście, poprzednia pięcioletka była niekorzystna. Wybudowaliśmy tylko 175 mieszkań. W tej — zakładamy 420. Pozornie jest więc zmiana na lepsze, ale na mieszkanie oczekuje ponad 1000 osób. Przy tym tempie budownictwa minie 20 lat, zanim ostatni otrzyma własne „M”. Jeszcze w tym roku trzeba rozpocząć dwa budynki, w tym jeden — przy ulicy Jagiellońskiej — z minizłobkiem. M.in. o to walczylismy na przedpołudniowym spotkaniu z wojewodami. O co się rozbiła: w związku z przejęciem przedsiębiorstwa na własny rozrachunek LPB oświadczyło, że bloku tego nie rozpocznie — z braku materiałów. Co na to władze polityczne i administracyjne województwa? „Rządzi samorząd robotniczy” — mówią. Niemniej jednak prosiliśmy serdecznie, i pewne nadzieje, że budynek zostanie rozpoczęty, mamy. Teren pod budownictwo na tę pięcioletkę zabezpieczyliśmy w rejonie od ulicy 1 Maja w kierunku mleczarni. Tam też jest przewidziany plac pod przedszkole. Wyjaśniono nam w województwie, że istnieje możliwość rozpoczęcia budowy w przyszłym roku, ale jest, to uzależnione tylko i wyłącznie od LPB. Problem kolektora rzeczywiście ciągnie się od lat, ale nie wiadomo było, gdzie go prowadzić. Teraz sprawa wyklarowała się, ponieważ część ścieków komunalnych będzie odprowadzana do nowo budowanej oczyszczalni przy zakładzie mleczarskim. Na ostatniej naradzie ustalono, że oczyszczalnia będzie wykonana do 1983 roku. W przeciwnym przypadku przy każdym bloku trzeba by budować szambo. Z tym jednak wiąże się konieczność zwiększenia odległości między blokami i wówczas zabrakłoby terenu pod budownictwo mieszkaniowe.

MAREK SKARŻYŃSKI: — Myślimy podpisać umowę na rok, a nie na pięć, dziesięć. Władze nie wywiązują się z zobowiązań.

JOZEF CHRZANOWSKI: — Towarzysze Skarżyński był na dzisiejszej naradzie i wie, jak jest; ja więc nie wyjaśnię.

„KONTAKTY”: — Nie było odpowiedzi na temat osiedla domków jednorodzinnych.

JOZEF CHRZANOWSKI: — W planie zagospodarowania przestrzennego, który został zatwierdzony na ostatniej sesji, jest wydzielony teren na 106 działek. Spółdzielnia Mieszkaniowa może wziąć na swe barki budowę domków pod warunkiem, że będzie to budownictwo szeregowe. Dyskutowaliśmy z udziałem 40 chętnych, a oni: pochodzimy ze środowiska wiejskiego i chcemy mieć oddzielne działki, oddzielne domki, budynki gospodarcze, by móc hodować kury, króliki, świnki. W związku z tym sprawa zabudowy szeregowej odpadła definitywnie. Jeżeli jednak byłby inni chętni, do sprawy można wrócić.

MAREK SKARŻYŃSKI: — Nieprawda, że nie ma chętnych. Osiedle to musi być jednak włączone w system ogrzewczy spółdzielczości mieszkaniowej. Nie można dopuścić, by z każdego domku kopcił komin. Istnieje zatem pilna potrzeba budowy lokalnej kotłowni. Wówczas budowę domków można byłoby zacząć w ciągu dwóch-trzech lat.

MARIAN KAZAN: — Co tu mówić o kotłowniach, gdy są tam grunty klasy drugiej i trzeciej; ich właściciele nie wyrazili zgody na przekazanie ziemi pod osiedle Zorza. Trzeba szukać innych terenów. Chcemy budować, a jeszcze ziemi nie ma.

JOZEF CHRZANOWSKI: — Sprawa jest przesadzona i osiedle Zorza powstanie. Tam są tylko grunty klasy czwartej i wojewoda zdecydował, że mogą być przeznaczone pod budownictwo. Czekamy tylko na załatwienie formalności; musi ukazać się uchwała w dzienniku urzędowym WRN.

MARIAN KAZAN: — Wracając do sprawy ogrzewania chcę poinformować, że budynki przy ulicy 1 Maja już nie są dogrzewane. Konieczne jest więc wybudowanie nowej ko-



tłowni dla osiedla Centrum. Będzie to warunkowało dalszy rozwój budownictwa wysokiego. Jesteśmy gotowi założyć Młodzieżową Spółdzielnię Budowy Domków Jednorodzinnych, ale niech za te sprawy bierze się młodzież. Niech pokaże, na co ją stać.

MAREK SKARŻYŃSKI: — Pan prezes ma chyba na myśli jakąś nową firmę. My nie wycofujemy się ze sprawy, ale tę musi przeprowadzić Spółdzielnia Mieszkaniowa. Próbowaliśmy wykpić się brakiem siły roboczej; to odpada, bo o wykonawców martwiliby się przyszli lokatorzy domków. Natomiast Spółdzielnia winna zapewnić materiały, uzbrojenie terenu i instalację ciepłowniczą, za co pobierałaby odpowiedni czynsz.

Z SALI: — Skończcie z tą dyskusją, mamy wiele ważniejszych spraw!

MARIAN KAZAN: — ZSMP-owcy mają tu rację, ale trzeba na sytuację patrzeć realnie. Stawiać wymagania nawet dwuletnie dziecko potrafi.

CZESŁAW JAKUBIAK: — Wpadajano nam, że drugą Polskę budujemy. W tej chwili młodzież musi czekać na mieszkanie 20 lat. Mnie to bardzo boli, że tylko takie perspektywy życia ma przed sobą to pokolenie. Po cóż byłoby te napuszone słowa, że pod względem rozwoju przścignemy dziesiątki uprzemysłowionych krajów? W Afryce bezdomni stawiają namioty, w Azji robią ziemianki. Może i my przejdziemy do tych technologii. Nie nie można. Nie, nie wiemy. Przepisy, przepisy...

MIROSLAW GREGORCZUK: — Żadam wyjaśnienia, dlaczego nie ma tutaj przewodniczącego Miejsko-Gminnej Rady Narodowej. Mam prawo stawiać takie pytanie, bo w wyborach głosowałem na niego jako swego przedstawiciela, a wcale nie znam tego człowieka. Powinien tutaj się spowiadać jako pierwszy.

Z SALI: — Jak nie zechce, to siłą ściągnąć!

KANGUREM DO STOLICY

Z LISTU: — Wysokie Mazowieckie nie ma żadnego bezpośredniego połączenia z Warszawą; w Szepletowie trzeba wyczekać na pociąg, w Zambrowie na autobus. Może wreszcie władze ruszyłyby głowami?

JOZEF CHRZANOWSKI: — Jest to zgodne z prawdą, ale ponieważ nie ma u nas jednostki osobowej PKS-u, nie jesteśmy w stanie tego załatwić. Wielokrotnie na sesji sprawę tę omawialiśmy; było wiele obietnic i nie zostały zrealizowane. Na ostatniej sesji i posiedzeniu prezydium Rady Narodowej wysunięto wniosek o przydzielenie Przedsiębiorstwa Gospodarki Komunalnej przynajmniej dwu autobusów, wówczas rozwiązałibyśmy i sprawę połączenia z Szepletowem, i dowożenia dzieci do szkół.

JERZY ZIELSKI: — Chociaż Wysokie jest dużą aglomeracją, liczy ponad 7 tysięcy mieszkańców, nie ma po południu ani jednego bezpośredniego kursu PKS-u z Łomży, ani rano — z Wysokiego do Łomży. Dam przykład: z Łomży wyjeżdża autobus, stoi w Zambrowie 10 minut i jedzie do nas. Proszę zobaczyć, co się dzieje: pasażer wsiada w stolicy województwa, w Zambrowie wysiada, by kupić bilet, i znów wpycha się do tego samego autobusu. To chyba jest bardziej sprawą organizacji, a nie braku taboru.

JOZEF CHRZANOWSKI: — Nie jesteśmy w stanie tego załatwić. Nam jest to wyjaśnienie tak: chodzi o połączenie z centrum regionu wszystkich jednostek administracyjnych, i władze wojewódzkie nie są w sta-



PRZESTROGI

Myslałem w naiwności swojej, że wolność służy do wyrażania różnorodnych opinii; srode się jednak rozczarowałem. Myślałem, że ścieranie się tych opinii prowadzić będzie do kształtowania głębszych sądów i mądrych działań; zawód mnie wszakże spotkał. Myślałem, że wolność słowa pogłębi tolerancję i wyzwoli nowe rodzaje zaangażowania; nie jednak podobnego nie nastąpiło. Obserwując to, co się dzieje wokół, widzę, że te wszystkie piękne hasła i słowa co innego miały na celu. Zadanie wolności słowa, ścieranie się opinii, wymóg tolerancji, okazały się przysłoną, pod którą kryła się paskudna substancja jednorodności i uniformizmu. Szło o to, jak mi się teraz zdaje, by jedynomyślność urzędową zastąpić jedynomyślnością potocznego rozsądku, slogany wymienić na slogany, retorykę na retorykę. Toż lepiej było przedtem, choć mi ta lepszość nie odpowiadała. Przynajmniej istniały dwa ścierające się stanowiska: oficjalne i „prywatne”, zatwierdzone i spontaniczne.

Otóż siedziałem sobie w kawiarni, pogrążony w nicnierobieniu, a obok — dwoje młodych ludzi. Palilem papierosa i rozmyślałem, że to pewnie ostatnie szczęśliwe dni mego nałogu. Na stoliku czerniała się w filiżance kawa, też pewnie ze szczupłych już zapasów importowych. Doleciała do mnie rozmowa sąsiadów z niedalekiego stolika. Z początku nie zwracałem na nią uwagi. W pewnym momencie jednak coś mnie tknęło. Niesłychane: ci młodzi ludzie, punkt po punkcie, opowiadali sobie wiadomości „Dziennika Telewizyjnego” z poprzedniego wieczoru. I żeby to jeszcze mówili o tym na jakiś własny sposób! Ależ skąd. Mówili „po prostu”. Bez krytyczności. Odtwarzali z siebie, jakby byli magnetofonowymi taśmami. Wystarczyło oto, że zrezygnowano z nadętej oficjalności, że poniechano wyświechtanych nadmiernie zwrotów i wyrażań — i już ci ludzie „zostali kupieni”. Nie stało się to, co powinno: wyzwolenie polifonii opinii i przekonania, lecz jedna jednolitość zastąpiła drugą. Ulica weszła do ekranu telewizyjnego, by w swym języku wieścić potoczne prawdy urzędu, które — okazują się dość zgodne z prawdami ulicy.

Uboś to mnie jedno. Otóż wśród wielu informacji pokazano mini-sondę. Reporter mianowicie nagabywał różnych ludzi i pytał, czy chcą rządzić Polską. Zaczepiani — na ogół — mówili, że nie. Niektórzy prosili, by dać im święty spokój. Chciał rządzić tylko jakiś były dyrektor i jakiś — z wyglądu — ni to urzędnik, ni to robotnik. Młodzi ludzie, komentując ten fakt w kawiarni,

śmiali się z pytania i odpowiedzi. Pewnie zgodnie z intencją układających program DTV.

Pragnę zwrócić uwagę, że wszystko dzieje się w sytuacji, gdy coraz donośniej rozlega się opinia o konieczności włączenia szerokich mas (zwłaszcza robotniczych) do rządzenia. Jest to zresztą stary, lecz wiecznie aktualny postulat lewicy społecznej. W naszej sytuacji nabiera on szczególnej doniosłości. Bez jego urzeczywistnienia nie sposób wprowadzić kraju z kryzysu, wyzwolić autentyczne zaangażowanie, poczucie kolektywnej własności. Telewizyjną mini-sondę odczytuje jako zdeprawowanie tego postulatu. Popatrzcie — zdaje się mówić — ludzie wcale się do rządzenia nie pałają. A młodzi z kawiarni potakują.

Jak zapewne potakiwali liczni zwolennicy „prawdziwej” odnowy i demokracji, gdy to oglądali.

Myślą tak przyzadkowo wyłonieni rozmówcy, choć może i szerokie rzesze. Wszak przez całe lata świadomie angażowano wiele sił i środków, by ich odpolitycznić, zamknąć w domu, w rodzinnym kręgu prywatności: sugerowano, że uważa ich nie powinna wykraczać poza czubek własnego nosa. Dowodem, że zabiegi te w pełni się powiodły, jest właśnie ów zbiór rozmów zawarty w mini-sądzie. Ale o tym słowem nie wspominał telewizyjny reporter, nie pomyśleli też moi kawiarniani sąsiedzi. Dali się więc złapać czemuś, co ich samych ukształtowało; stali się — jakby to Gombrowicz powiedział — tożsami z „gębą”, powstała

bynajmniej nie przy udziale ich świadomości. W tą samą „gębę”, z dziecięcą bezbronnością, są układani liczni polycyzyjne telewizyjne wiadomości.

Nie mówię, że jest to wszystko karygodne. Byłoby to li tylko moralizatorstwem. Wskazuję te fakty, by zwrócić uwagę na to, co powinno być poddane przeobrażeniu. Inaczej, miast rzeczywistego rządzenia mas — będziemy mieli do czynienia z jego karykaturą.

A o przykłady karykatur właśnie — łatwo. Oto w 24 numerze „Płomienia” można było przeczytać reportaż Elżbiety Wcisłej „Przetarg o lży”. Zawierał on smętny zaiste obraz posła, byłego członka KC z mas się wywodzącego, lecz dobrane go zapewne wedle tych reguł selekcji negatywnej, z jaką w ostatnich latach mieliśmy nagminnie do czynienia. Nazywa się Stefan Piuk i tak o sobie mówi na robotniczym zebraniu: „Co sądzę o więźniach politycznych? Takich tematów na KC i w Sejmie nie było, a ja osobiście — rozbawionym głosem — naprawdę, wierzcie mi, że ja się polityką nie zajmuję. Ja doprawdy jestem przedszkolak w tych sprawach!”.

Wypowiedź ta nie spotkała się z aprobatą zebranych. Ale czy ktoś wspominał, że z praktyką negatywnej selekcji należy skończyć, co nie znaczy, iż nie należy dbać o rzeczywisty wpływ na władzę i udział w władzy robotników i chłopów? Niel nikomu to na myśl nie przyszło. Jeden z dyrektorów tyle jedynie zauważył: „Naszym obowiązkiem jest jak największa produkcja. Na rynek, na eksport. „Solidarność” — związek zawodowy, do którego wszyscy wstąpiliśmy i wspólnie wybraliśmy jego władzę — ma dbać o poprawę warunków bytowych, socjalnych. Zadaniem partii jest zapewnienie utrzymania zdobyczy, które wywalczyła sobie klasa robotnicza. Tak to u nas wygląda i życzymy sobie, by dalej tak wyglądało”.

Zaiste: skromne te życzenie. Myślę, że jedną z podstawowych zdobyczy tej partii powinna być maksymalizacja udziału mas w polityce na każdym szczeblu, od zakładu pracy poczynając. Jest to, sądzę, nie tylko sposób na „utrzymanie zdobyczy”, ale i ich efektywne rozszerzenie. Sprowadzenie uwagi do pierwszego jest miłym, technokratycznym złudzeniem, którym można karmić małuczkich i nieoświeconych.

W uroczach rozlewającej się szeroko, lecz niezbyt głęboko, wolności słowa, nie widzę poważnych prób ani przezwyciężenia tego złudzenia, ani innych podobnych i niepodobnych. Może się ockniemy — budząc się z ręką w nocniku.

JAN KUROWICKI

uroki wolności



KWIATEK DO KONTUSZA

Jeden z moich mądrych znajomych — po przeczytaniu „Polskich pól” — powiedział: wiadziej jedynie powierzchownie zjawisk. Ale tak naprawdę dlaczego N.1 nie może występować jako rzecznik sprawy robotniczej, chociaż kiedyś utożsamiał przejrzystą deklarację ideową z socrealizmem?

Zamyśliłem się. Sprytem nie wszystko można wytłumaczyć: inteligentka zmienność czy przysłowiowa chwiejność też są często przeceniane. W końcu wśród piszących są (istnieją również) „Kisiele”. Nie musieli się zmieniać; przeskakować od propagandy sukcesu do propagandy klęski, od różowej futurologii do krańcowego czarnowidztwa. Neofici klaszczą robotnikom, ale po dawnemu z buntu klasy suwerennej niewiele zrozumieli. Klasa świadoma swej siły, klasa dla siebie, walczą nie tylko o własne interesy. Upominała się i o Miłosa, o prawdziwy obraz nowszej historii, o nonkonformistycznych pisarzy. Dlaczego? Ze względu na altruizm czy niewyżyte ciągotki intelektualne? Ani jedno, ani drugie... Trudno natomiast o lepsze przykłady hegemonialnych dążeń.

Wszelkie ograniczenie się do spraw bytowych oznaczałoby bowiem rezygnację ze społecznego prymatu, z wyjątkowego miejsca w życiu narodu: miejsca wyznaczonego nie przez urzędową formułę, ale przez najbardziej istotne treści marksistowskiej filozofii. Cieszy fakt, że na IX Zjeździe ostatecznie zrezygnowano z pewnej postawy, wyrażającej się w równie demagogicznym, co pobożno-

zawracanie nawróconych

zyczeniowym hasło: „Program Partii — programem Narodu”. Przejście na zdecydowany realizm, na hasło: „Program Narodu — programem Partii”, zostało odnotowane prawie przez wszystkie środki masowego przekazu na całym świecie. Ta deklaracja intencji musi być zrealizowana, a wcześniej — rozpisana na poszczególne kroki, jeśli chcemy uniknąć jakiegokolwiek przepychanki.

Niepokoju natomiast fakt, że klasa robotnicza, rzeczywisty hegemon i suweren, nie formułuje żądań pod adresem własnych intelektualistów, nie udziela im wskazówek, zaleceń. Jakby ufała im bezgranicznie. Jakby bezgranicznie wierzyła w ich wiedzę i zdolność do prawdziwej oceny sytuacji. Obserwując np. pewne ogniska NSZZ „Solidarność” odnosi się wrażenie, że organizacją tą rządzą eksperci, rzecznicy, doradcy. Już niejaki marksista — współzałożyciel Partii Komunistycznej — Antonio Gramsci twierdził, że każda klasa pretendująca do roli hegemonu musi stworzyć własną warstwę intelektualistów, „tłumaczących” jej żądania i aspiracje na „język” innych klas czy warstw, uzasadniających i propagujących program tej klasy. Bez nich nie ma mowy o duchowej hegemonii — niezbędnym warunku trwałości klasowego panowania. Dotyczy to również rządów klasy robotniczej. Wydarzenia z marca 1968 i czerwca 1976 dowiodły, że bez sojuszu robotników i inteligencji można sobie tylko pomarzyć o poważniejszych zmianach.

Prawa rozwoju społecznego są bowiem nieubłagane. Oczywiście chodzi

o sojusz typu gramscjańskiego: sojusz określonej (usługowej) warstwy z klasą pracującą. Jak dotąd — ten problem nie został w praktyce rozstrzygnięty. Szansa nowoczesnego rozwoju pozostaje ciągle otwarta. Warto określić główne cechy trzech różnych sytuacji. W 1968 samotni studenci oraz intelektualiści przegrali, pozbawieni robotniczego poparcia. W 1976 robotnicy Radomia i Ursusa mogli sobie posłuchać radiowych relacji z wiecu protestacyjnego, jaki odbył się na warszawskim Stadionie Dziesięciolecia. W imieniu społeczeństwa — robotników potępiał poeta Stanisław Ryszard Dobrowolski. Naturalnie, można zażartować i stwierdzić, że SRD intelektualista nie jest, o czym świadczy zbyt szybko zapomniana powieść „Głupia sprawa”, w której bohater — uniwersytecki profesor fizyki — reprezentuje raczej poziom niezbyt bystrego absolwenta szkolnej pracowni fizycznej z łycho wyposażonej podstawówki. Ale nie o Stasia Rysia chodzi.

Robotnicy nie przejęli się strofowaniem starego poety, debiutującego w, nowej dla siebie, dziedzinie powieści politycznej, a intelektualiści zrozumieli, że tej upokarzającej lekcji nie można powtarzać. Tzw. ulica warszawska zareagowała rozmaicie. Rozpowszechniano pogłoskę, że wieszacz przemawiał po pijanemu. Ironicznie zaczęto nazywać radomskie sporty — „chuliganami”.

Paczkę chuliganów poproszę — mówili żartownisie, i kioskarcze wiedzieli, o co chodzi. Albo odpowiadali: — Chuliganów nie ma. Są czyżki — papierosy wytwórni w Czy-

żynach (przypis felietonisty, powoli zdobywającego sobie tą drogą pozycję docenta-eksperta). Jednak taka odpowiedź, że sportów nie ma, padała dość rzadko. Świadczyła na ogół o nieudolności kioskarcza. Najwięksi pesymiści nie przypuszczali, że dojdzie do reglamentacji wielu towarów, w tym i papierosów.

Sierpień 1980 wzbudził entuzjazm inteligencji i wiarę robotników we własne siły. Wielu, wyłonionych podczas strajków, naturalnych przywódców okazało się ludźmi sporego formatu. Powstała nasza, polska, robotnicza „Solidarność”, a w jej szeregach znalazło się sporo inteligentów. I pan X, który brał spore korpertówki od „krwawego Maciusia” (co zresztą zostało podane do publicznej wiadomości), a teraz wojuje o demokrację. I pani Y, która po załatwieniu kilku niebłogosładowych pisarzy, niespodziewanie, jeszcze przy końcu lat siedemdziesiątych dołączyła do „demokratycznej opozycji”. I Z, nawrócony przed niespełna rokiem, ale za to demonstrujący ogromną żarliwość. Podobno tylko świnią nie zmienia poglądów. Daleki jestem od prozelitów czy wyciągania prawdziwych lub rzekomych zaśluszczeń, w czym specjalizują się „Płomienie”. Niepokoi mnie co innego: że robotnicy tak łatwo, z istic chrześcijańską wyrozumiałością, przyjęli wczorajszych twardegłowych.

Rozumiem potrzebę utożsamiania się z realną siłą społeczną. Może niektórym zagubionym intelektualistom pomaga w usensownieniu własnego życia. Ale nie rozumiem, dlaczego mieliby oni pełnić w Związku rolę inną niż usługową. A to oznacza jedno: żadnych partykularnych czy grupowych interesów.

STRYJEC



REPORTER: W Hajnówce wszystko zależy od kierunku wiatru. Jeśli wiatr jest niesprzyjający, to w całym mieście śmierdzi; jeśli sprzyjający, śmierdzi tylko w okolicach. Gazy zatrująją wszystkich, co z tego. A przypomnijmy, że Hajnowskie Zakłady Suchoj Destylacji Drewna ulokowano na skraju Puszczy Białowieskiej. Pracownicy mówią o fabryce po prostu — „Chemiczna”.

REPORTER: Przepraszam, pan długo tu pracuje?

CZŁOWIEK: Ja już na emeryturze. A pracowałem czterdzieści cztery lata.

REPORTER: Dużo pańskich kolegów narzeka na zdrowie?

CZŁOWIEK: Na pewno. Jak nie astma, to serce albo płuca.

REPORTERKA: A czy zdarzają się w zakładzie wypadki zezadzenia?

CZŁOWIEK: Często i gęsto. Ile ich jest na rencie, połowa z zagazowania.

REPORTERKA: W gabinecie dyrektora, naprawdę przypadkowo, spotykamy hajnowskiego delegata na IX Nadzwyczajny Zjazd Partii, Zygmunta Homlala.

ZYGMUNT HOMLALA: Pracuję tu od 1948 roku jako elektryk dyżurny. Jest to zakład z roku 1917, o specjalnym i nietypowym profilu produkcji; zapylenia okropne, gazowania duże, temperatury wysokie i wiele substancji trujących. Pracownicy mieszkają w podobnych warunkach, bo w barakach, które stąd widać, też z roku 1917. Nie można nawet okna otworzyć, by poodychać świeżym powietrzem. Mieszka tam sto rodzin z dziećmi.

REPORTER: Do rozmowy w gabinecie będziemy jeszcze powracać. Tymczasem z zakładowym behawpocem, Józefem Kiszkałem, wchodzimy do fabryki. Wie pan, co się tutaj od wejścia rzuca w oczy? Taki przynębiający, buraczarny kolor budynku. Przy retortach, na czarnej desce, w czarnych drelichach, siedzą czarni ludzie. Wzdłuż torów idziemy dalej czarną drogą. Pan jest zastępcą przewodniczącego Komitetu Zakładowego „Solidarności”? Interesują nas sprawy socjalne.

WIESŁAW DRAGMEN: Co ja mogę powiedzieć? Sami państwo widziecie, w jakich warunkach pracujemy i jakich warunków potrzebujemy, żeby utrzymać czystość.

REPORTER: Jak tu można mówić o utrzymaniu czystości, przecież wszędzie czarno jak w piekle? Skąd to kapie?

WIESŁAW DRAGMEN: Z góry. Woda się leje z dachu. Obecnie przebiega remont.

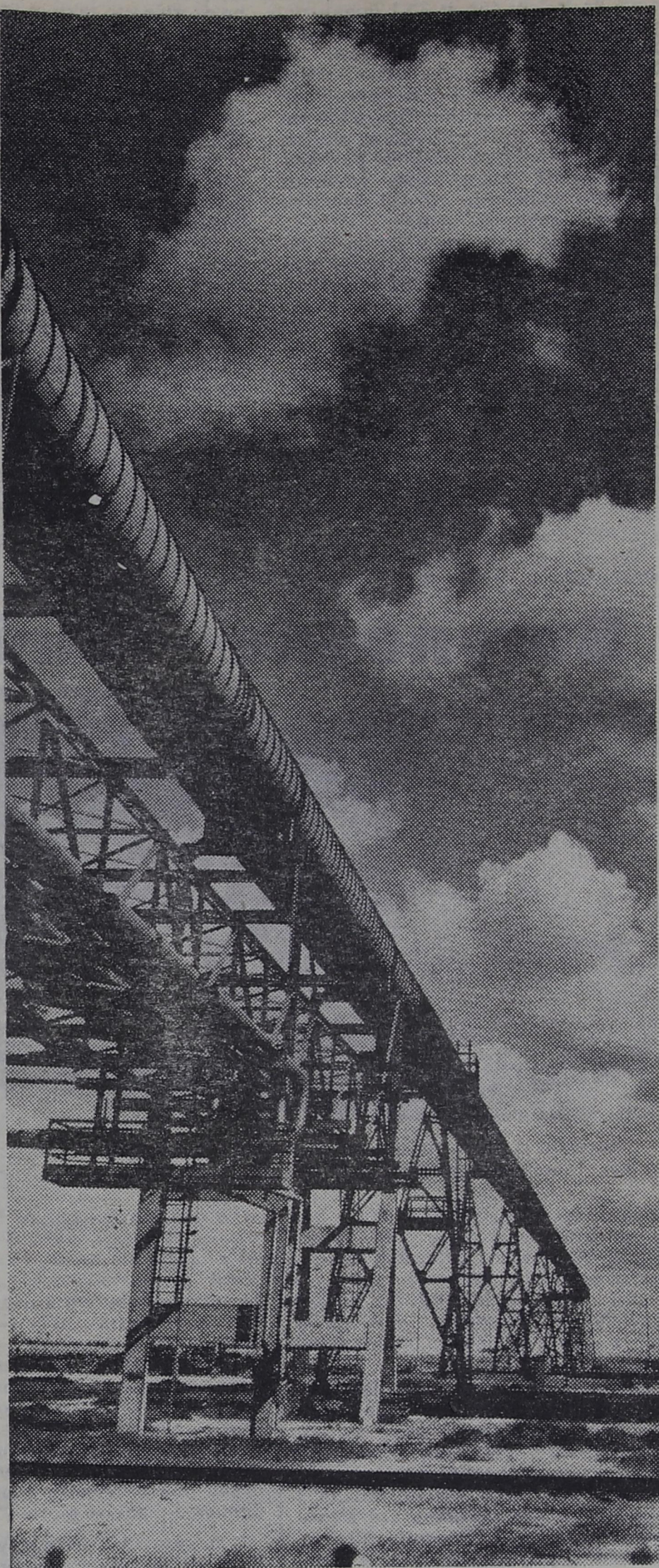
REPORTERKA: Po krętych, stalowych schodkach wchodzimy do aparatuowego suchej destylacji drewna. Pracuje na wysokości dwóch pięter. Jak tutaj można wytrzymać?

APARATOWY: No, widzi pan, jakie mamy warunki. Nie wiem, czy mam zdrowie nadzwyczajne, czy szczerście. Jeśli człowiek tu długo pracuje, to jest taki typowy „chemicznik”, jak mówią ludzie z miasta. I w towarzystwie go czuć, i w koleżce, nawet jak się umyje. Kiedy się człowiek rozparzy, to i ciało słychać. Taki mamy specyficzny zapach „chemicznika”. Prześniakamy gazami, smołą. Na włosy nie pomaga mycie, po tygodniu może pomóc dopiero, jeśli myć dzień w dzień.

ZYGMUNT HOMLALA: Grupa ludzi objętych czynnym poradnictwem co roku się powiększa. W tym roku mamy ich 128. I tak: na gruźlicę chore 34 osoby, wrzody żołądka ma 27, nadciśnienie — 20, reumatyczne — 15, choroby zawodowe — 7, układu krążenia — 14, układu oddechowego — 6, układu kostnego — 2, choroby psychiczne — 2. Na renty w roku 1980 odeszło 15 osób, a na emerytury — 6. Odechodzący na renty to ludzie młodzi, bo w wieku lat 43. Nie tylko miedź, żelazo czy beton zjada nasz zakład, ale i nasze zdrowie. Więc płynność pracowników ogromna. W roku 1980 przyjęliśmy 118 osób, a zwolniliśmy 123. Nie ma się czemu dziwić, bo co my damy młodemu, świeżemu pracownikowi? W jakich warunkach go zatrudnimy i za ile? Średnia nasza płaca jest niższa od średniej krajowej o około dwadzieścia procent. Mieszkań nie ma i żadnych perspektyw. A praca w ruchu ciągłym nie każdemu odpowiada. Warunki są okropne, praca na okrągło, święto nie święto.

REPORTER: Wielkie wydarzenie dzisiaj w zakładzie, proszek do prania jest.

reportaż z czarnej fabryki



KOBIETA I: Proszek, mydło, papierosy.

REPORTER: Po co wam potrzebny proszek, mydło, kiedy i tak waszysko tu czarne?

KOBIETA II: Jak posiedzi się w tym piekle, to potem powietrza brak. Wszystkiego brak.

KOBIETA III: Samopoczucie takie, jakby człowiek pijany był.

MEŻCZYŻNA I: Ja pracuję pięć lat w zakładzie. Przychodzę do domu wieczn zmeńczony, wieczn brudny. Zawsze ludzie narzekają, że bardzo zmęczeni wychodzą z pracy.

GRZEGORZ SAKOWSKI: Pracuję jako młynarz, już 26 lat. W beczech śmiechu pracuje się w ten sposób, że jest tu — zaraz, żeby państwa nie zakurzyć — dziura. Wstawia się lej, bierze się te woreczki, rozwiązuje i po prostu, bez żadnego wentylatora, sypie się. Człowiek to wchłania po prostu, kupę kurzu. Po zasypianiu zakręca się ten dekiel, no i dopiero się włącza, a to miesza. Podstawia się worki i się wybiera. Człowiek wychodzi jak Murzyn albo kominarz. Pluje się po prostu czarną pastą. Jeżeli tu popracuje, dajmy na to, osiem godzin, do wieczora będę pluł czarnym. Najwięcej człowiek zauważy, gdy czarnym pluje zimą, bo na śniegu widać.

REPORTERKA: Czarny młynarz, Grzegorz Sakowski, nie wie nawet, że dopuszczalne stężenie pyłu w powietrzu w jego wydziale zostało przekroczone prawie 130 razy! Pyły te zachowują się jak ciecz — przenikają wszędzie.

ZYGMUNT HOMLALA: Konieczne musimy zacząć myśleć, jak gdzieś zdobyć pieniądze na trzy bloki mieszkalne i zabrać ludzi z baraku, żeby oni wreszcie przed

śmiercią mogli z rok pomieszkać jak ludzie. Te baraki zostały po niewolnikach i ładuje się w nie pieniądze. Ludzie mieszkają bez żadnych wygód socjalnych; jak pracują, tak i mieszkają. Nie tylko oni, bo trują też żony i własne dzieci.

JÓZEF KISZKAŁO: Teraz idziemy na dział najgorszy pod względem i zachorowań ludzi, i pod względem brudu. Na tym dziale nikt nie chce pracować.

REPORTERKA: Zauważyłam, że na niektórych ciężkich, uciążliwych stanowiskach pracy, przy piecach, przy retortach, pracują młode kobiety. W innych zakładach tego nie ma.

JÓZEF KISZKAŁO: Po prostu młode kobiety nie mogą sobie znaleźć zatrudnienia, a w „Chemicznej”, oczywiście, brak ludzi zawsze.

KOBIETA IV: Pracujemy po dwadzieścia pięć lat tutaj.

MEŻCZYŻNA III: Nie brakuje niczego. Zapachów mamy tyle, o! Już i z oczami wysiadka. Od kilku miesięcy mało widzę. W związku z tymi gazami ja ślepnę. Mają mnie wysłać do Białegostoku.

MEŻCZYŻNA IV: Jak oślepniesz, dostaniesz parę złotych, pójdziesz do domu i będziesz miał samochód. Tutaj nie tylko koń, ale i słoń by się przewrócił, jak nieraz zagazuje. Gazu jest pełno, ludzie się trują. Jak tylko wchodzi ktoś do dykcji, już tu telefon: „Nie zasypywać pieca, nie zasypywać, wytrzymać, żeby nie gazowało”. Komisja przeszła, elegancko, w porządku, poszła, kopcimy dalej. Zwróciłem uwagę, jak był inspektor wojewódzki: „Panie, chodź pan rano, przyjdź pan o dziesiątej, o ósmej wieczór, wtedy dopiero zobaczysz”. Za głowę się wziął, stoi i patrzy.

REPORTER: Nie wszyscy pracownicy wiedzą, że w wydziale pieców obrotowych i gazogeneratorów stężenie śmiertelnościowego tlenu węgla jest przekraczane czterokrotnie.

KOBIETA V: Ja mówię, że na zaświadczeniach lekarskich oni też źle wykazują. My tutaj, zdrowie straciliśmy, to na sprzątaczkę wygonili. Na dwadzieścia pięć lat pracy piąta grupa! Albo grupy nie ma. Człowiek im potrzebny, jak zdrowy jest, a jak zachoruje, to fora. My gadali; nasze gadanie nikomu nie pomagało. Jak człowiek coś zauważył, to nie wiedział, do kogo powiedzieć.

MEŻCZYŻNA V: Dyrektor powiedział: „Od myślenia to my mamy głowy, a wy idźcie do pracy. Pomyślimy nad tym”. Tak się robiło dwadzieścia, trzydzieści lat.

REPORTER: Dyrektor naczelny, Władysław Otoka, jest synem pracownika „Chemicznej”. Pan tu zaczynał jako zwykły robotnik?

WŁADYSŁAW OTOKA: Do tej pory nic żeśmy nie kamuflowali. Warunki rzeczywiście są uciążliwe. Wiele rzeczy można byłoby zmienić, tylko brakuje nam troszkę pieniędzy na dofinansowanie. Tym bardziej że teraz przedsiębiorstwa same się do nas pchają na roboty, nazwijmy je — modernizacyjne, więc można by dużo zmienić, ale fundusz jest okrojony. Limit mamy stosunkowo niewielki, ale spory, za to możliwości jedną trzecią. Nie mogę tutaj wielu rzeczy wykukać, jak to się mówi. Niektóre są przyhamowane, aczkolwiek na niektóre na własną odpowiedzialność podejmuję decyzje, choć nie wiem, czym to się w końcu skończy. Płacić trzeba będzie, a na razie nie mamy z czego. Mamy tutaj plany piękne, ale co z tego.

REPORTER: Trujecie nie tylko własną załogę, ale i okolicę.

WŁADYSŁAW OTOKA: Bezprzeecznie. Myślę, że jeżeli ta nasza produkcja jest specyficzna, specjalna i unikalna w skali kraju, to chyba powinniśmy się nami zainteresować w takim zakresie, żeby nie zmierzać do likwidacji, aczkolwiek to może też być nieuniknione. Ale przypuszczam, że chyba władze się zainteresują i pomogą nam. Ten zakład jesteśmy w stanie doprowadzić do standardu, powiedzmy, jak na obecne czasy, do przyjęcia. W tej chwili nie ma co ukrywać, jest tu, w pewnym sensie, średniowiecze.

ZYGMUNT HOMLALA: Przecież tam kobiety na niektórych stanowiskach wymiotują, pracują w maskach. To jest, tak jak dyrektor powiedział, średniowiecze. Po prostu nie uwierzą ludzie w Polsce, że tak jeszcze można gdzieś pracować.

REPORTER: Pan kieruje najgorszym działem zakładu?

JAROSŁAW KROWILANDO: Tutaj występuje znaczne zapylenie i związki toksyczne szkodliwe dla zdrowia. W tej chwili dział w remoncie; będziemy poprawiali, może nam się uda. Zabronione to stanowisko jest w ogóle dla kobiet. Jeszcze trochę kobiet pracuje z uwagi na to, że praca jest bardzo precyzyjna, wymagająca dużej dokładności. Po remoncie chcemy w ogóle z kobiet tutaj zrezygnować.

REPORTER: A dlaczego kobietom szczególnie tutaj nie wolno pracować?

JAROSŁAW KROWILANDO: Ja tego też nie rozumiem — jeżeli kobiecie szkodzi, to mężczyźnie chyba też. W ogóle w tym zakładzie żadna kobieta nie powinna pracować.

JÓZEF KISZKAŁO: Tutaj metal nie wytrzyma dłużej jak rok. Wypadek może być każdego dnia. A że go nie ma — to się tylko zawdzięcza rutynie ludzi, i statystyka wypadkowa nie odzwierciedli warunków pracy.

ZYGMUNT HOMLALA: Może ta statystyka się poprawi, ale to wszystko jest na potem. Jak wygląda sytuacja w kraju? Rozpoczęte inwestycje zastopowano, a na nowe nie bardzo są pieniądze. Uważam, że na ten zakład pieniądze powinny być, bo te budynki i warunki pracy to jest sprawa życia ludzi. Inne inwestycje można zatrzymać, a tutaj obowiązkowo dać. I o to dykcja musi się starać, żeby ten człowiek przed śmiercią jeszcze coś zobaczył, bo teraz jest tak: przepracował te czterdzieści lat, poszedł do domu, ileż jeszcze pożyje? Jest tak wykończony, że w tym domu tylko parę lat poodycha i już go nie ma.

BARBARA CIRUK
TOMASZ PIOTROWSKI
Fot. GABOR LÖRINCZY

KONTAK
29.XI.1981

obyczaje



PO SASIEDZKU
Z REYMONTEM

Nawet najmniejsza w „Chłopach” wzmianka o hodowli zwierząt wpływała z dokładnych obserwacji. Najwięcej uwagi poświęcił Reymont bydłu i gęsiom. Fakt, że hodowla bydła znalazła oddźwięk w „Chłopach”, nikogo nie zdziwi, ale dlaczego gęsi a nie koni, świń czy owiec? Otóż hodowla gęsi wiązała się z charakterem dawnej wsi i jej stanem gospodarczym. W każdym gospodarstwie były gęsi, hodowali je także komornicy, nie wymagały bowiem żywienia ziarnem zbóż; odchowywano je przede wszystkim na pastwiskach, ugorach i dokarmiano chwałami. Gęś w Polsce jest przecież symbolem chłopskiego gospodarstwa, które dziś określamy jako ekstenzywne.

Ta masowa hodowla gęsi przetrwała w moich stronach — podobnie zresztą, jak w Polsce centralnej — do pierwszych lat powojennych. Z roku na rok ulegała zmniejszeniu, co było wynikiem przede wszystkim rozwoju hodowli bydła. Rugowano gęsi z pastwisk, gdyż je zanieczyszczają. I tak typowy dla dawnej Polski obrazek, przedstawiający stadko gęsi i bosego pastuszkę z fujarką, zniknął już dość dawno z wiejskiego pejzażu.

Jakie gęsi były pod koniec XIX wieku? Mimo udomowienia — zachowały wiele cech swego przodka: gęsi gęgawej, dzikiej. Już Darwin stwierdził, że nie istnieje inny gatunek zwierząt, który by w procesie udomowienia uległ tak nieznacznym modyfikacjom. Gęś domowa zmieniła się powoli wskutek odpowiedniej pracy hodowlanej, prowadzonej przez gospodynie. Do lęgów brały one bowiem jaja takich gęsi, które wyróżniały się lepszymi cechami użytkowymi. W ten sposób powstały ich odmiany regionalne, na przykład podkarpackie, suwalskie czy kieleckie.

Zauważył to również Reymont: „Siodłate wszystkie będą — zauważyła siadając na przyzbie. — Juści, a z wielkiego gatunku. Organiscina odmieniła mi jaja, że trzy swoje dawałam za jedno”.

Dzisiaj gęś domowa staje się gęsią fermową — cięższą, powolną i o dużej nieśności, ale zarazem bardziej delikatną i wrażliwą na różne schorzenia. Na przykład choroby wirusowe wystąpiły u gęsi dopiero w okresie ostatniego dwudziestolecia. Charakterystyczny jest fakt, że rozpoznano je po raz pierwszy w Polsce.

A jakie gęsi widział Reymont? Miał one upierzenie siodłate (ciemniejsze pióra na grzbiecie) i były lekkie, co pozwalało im fruwać dość daleko: „[...] to gęsi zerwały się z pastwisk i stadami leciały, całe w zorzach zachodu zatopione”. Jestem przekonany, że dzisiejszy czytelnik i ten, który w przyszłości sięgnie po „Chłopów”, opis powyższy uważać może za niedorzeczny: jakże to, latające stadka gęsi domowych?

Podobne zdarzenie opowiadał mi także wujek, który jako dziecko także gęsi pasał. Otóż przyleciały one na pastwisko położone obok reymontowskiego młyna aż z Grünbachu — wsi kolonistów niemieckich, znanej Reymontowi i wymienionej w „Chłopach”.

Z krótkich opisów Reymonta można uzmysłowić sobie dokładnie sposób ich hodowli. Wiemy, w jaki sposób żywno gąsienią: „Kłębowa wyniesła na deseczce posiekanego jajka wraz z pokrzywami i kaszę i przykucała przy nich, pilnie bacząc, bo stare kuty w drobiazg, tratowały i kradły jedzenie, jak tno mogły, rejwach czyniąc krzykliwe”.

Nie uszła uwadze Reymonta nawet ochrona gąsienią przed wronami: „Niech się zabawia, gap nikaj nie widać, przypilnuję bacznie [...] Wypędzę, Hanuś, i od gap przypilnuję. [...] Wrony gąski przebrały, że polowa została”.

Dowiadyujemy się, że gęsi na noc spędzano do szopy, jak je sprzedawano i skubano, kiedy odsadzono gąsienią: „[...] to znówu brała się skubać pióra, aż gęś zagęgała boleśnie i rwać się poczęła z krzykiem z jej rąk i bić skrzydłami, że puch się rozwał po izbie białym tumanem. Uspokoila ją rychło i mocno ścisnąc kolanami, że gęś jeno pogęgiwała z cicha boleśnie i odpowiadały jej inne, gdzieś z sieni czy z podwórza”.

A jak przedstawiała się hodowla bydła? Gospodarze nie hodowali krów rasowych, chociaż te sprowa-

dzili do Polski już w XVI wieku zapobiegliwi i oświeceni właściciele ziemscy — przede wszystkim ze Szwajcarii, a następnie z Danii i Holandii. Najprawdopodobniej ze szwajcarskim byłem zarodowym przysła też do Polski zaraza płucna, która przez kilka wieków powodowała, obok księgosuszu (również choroby zakaźnej), bardzo poważne straty w pogłowie bydła.

Wzmianki o hodowli bydła rasowego w majątkach znajdują się także w „Chłopach”: „— Ho, ho, ciolek wam się zdarzył, dobrze go przedacie — mówił rozpinając kapot [...] Na chowanie pójdzcie, bo to z dworowego gatunku. [...] Taka krowa, taki haman, że i drugiej nie w każdym dworze by znalazł. [...] Cielna krowa, musi być z dworskich. [...] Co za kark! A jaki grzbiet, jakie to ma piersi! Smok nie byk! — wołał jaże przysapując z radości. [...] Juści, jeszcze takiegom nie widział. — He, prawda! Czysty holender [...]”

Zatem do hodowli chłopskiej wprowadzano bydło rasy nizinn-

no je głównie jako producenta obornika — od jego ilości zależała możliwość gospodarstwa. Pamiętam, uwagi na ten temat jeszcze z okresu międzywojennego: „Po co wypędzać bydło na pastwisko, tylko gnój zgubi”. Pastwiska były bardzo kiepskie, przeto mleczność krów — bardzo niska. Jeszcze w okresie międzywojennym krowy dające 3000 litrów mleka rocznie należały do rzadkości. Pamiętam z dzieciństwa, że tylko dzierzawca Reymontowskiego młyna odstawiał dziennie 20 litrów mleka (hodował 5—6 krów). Inni gospodarze oddawali po 10—12 litrów, a byli i tacy, którzy odwozili zaledwie 3—5 litrów. Teraz wielu gospodarzy z mojej wsi odstawia nawet do 100 litrów mleka dziennie!

Dziś nie ma już we wsi bydła „z rosochatymi rogami” i o różnej maści, jakie widział Reymont i jakie pamiętam z dzieciństwa. Na pastwisku graniczącym z gospodarstwem ojca Reymonta wrzało swoiste „życie pastwiskowe”, które często oglądał pisarz: „No, wyście to już wszy-

dziś, dzięki czemu nosi on miano „zagłębia” owczarstwa.

Dziwny wydaje się fakt, że Reymont poświęcił owcom tylko jedno zdanie w „Chłopach”: „Must być z dworskich owiec, śliczna wełna”. Niskie tereny i podmokłe pastwiska nie sprzyjały hodowli owiec w okolicy Będkowa. Dopiero teraz, po zmeliorowaniu, zaczynają się tam pojawiać gospodarstwa hodujące po kilkadziesiąt owiec ras szlachetnych.

Z wielkostadną hodowlą owiec związana jest pozycja owczarza. Temat ten nie doczekał się dotychczas wyczerpującego opracowania. Jeszcze do dziś krążą na wsi legendy o tych ludziach. Przychodzili przecież innym z pomocą lekarską. Pisz o tym także Reymont: „Jakże tam z matką? — Po dawnemu, choć może i ździebko lepiej. Jambroz lekuja, przychodził i owczarz z Woli, okadził ją, maście jakieś dał [...]”.

Gospodarka chłopska nie mogła istnieć bez konia. Był on także żywotną zamożności gospodarza. Uczuciowy związek chłopa z koniem został pięknie przedstawiony w opisie zajęć Kuby. Koń niekiedy był nie tylko prawie wszystkim dla gospodarza, ale nawet dla służącego. Jakże mogło być inaczej, skoro parobcy czy też synowie gospodarzy sypiali w stajniach. Sam pamiętam, że stajnie z wykrkiem były nawet „świećlicą”. W jesienne i zimowe wieczory spotykali się tam chłopcy — pili alkohol, plotkowali, grali w karty przy latarce naftowej. Od wczesnej wiosny do późnej zimy ciężko pracujący gospodarze i parobcy wiązali swoje losy z ciężko pracującymi i także niedożywionymi końmi. Ale konie „zjadały” gospodarstwa, dlatego też „gomułkowski” problem konia istniał już w czasach reymontowskich.

Reymont nie określa typów i ras koni, ale jest to zrozumiałe, bowiem w okolicach Będkowa istniała (i istnieje) wielka różnorodność typów, sprowadzanych ze znanych targów konskich np. w Jeżowie i Łowiczu. Przeważały konie małe, gorąco-krwiste, szczupłe, o niewielkiej sile uciągowej, ale za to wytrzymałe i przyzwyczajone do trudnych warunków i kiepskiego żywienia. Były one mieszaniną różnych ras oraz typów europejskich i azjatyckich. Dziś już takich w okolicach Będkowa nie ma.

Podporą chłopskich gospodarstw była hodowla świń: „— Ho, to świńnie zdrożają, bo jaki taki chciał będzie wsadzać do karmika. — Już i tak drogie, na zarazę latem wyginęły, a i do Prus skupują”. Handlarze niemieccy chętnie kupowali polskie świnię, ponieważ były tanie i — co stanowiło wówczas istotny ich atut — najczęściej wolne od włośni (trychin). Kupowali nawet chude lub tylko podkarmione sztuki, a następnie dotuczali je i sprzedawali w Berlinie lub eksportowali do Anglii. Świnię chłopskie, żywno głównie ziemniakami, pomyjami, serwatką i chwastami, korzystające często z wybiegów i pastwisk, charakteryzowały się sporymi walorami mięsnymi, podczas gdy np. węgierskie czy serbskie — znacznymi pokładami tłuszczu.

Chorobą, która bardzo utrudniała hodowlę świń, była różyczka. Nie znano wówczas szczepień zapobiegawczych, nie mówiąc już o możliwości leczenia. Dziesiątkowała ona zwierzęta głównie latem („na zarazę latem wyginęły [...] we żniwa wlepszak zdechły”). W ówczesnych, prymitywnych, warunkach można było hodować tylko zwierzęta mało wymagające i odporne na wszelkie niewygody. Brakowało przecież ciepłych, przestronnych i widnych pomieszczeń, słomy na podściółkę. Nawet zwierzęta o dużej odporności genetycznej ulegały chorobom. Pogłowie świń wyniszczała różyczka, psy powszechnie narażone były na wściekliznę, bydło i owce dziesiątkowały księgosusz, a dodatkowo krowy — zaraza płucna. Przyszycyca pojawiła się dopiero w okresie międzywojennym, natomiast dość często zdarzały się wzdęcia, zadławienia, kulawizny i grudy (u koni).

Powszechnie uznawanym sposobem leczenia było „puszczanie krwi”; stosowano je w okolicy Będkowa jeszcze w latach drugiej wojny światowej. Gdyby Reymont pisał „Chłopów” obecnie, z pewnością jedną z ważnych postaci tej powieści byłby lekarz weterynarii.

prof. dr hab. ZENON WACHNIK

Borynowie — rolnicy



Ostatnia chata w Będkowie, pamięta ją Reymont.
Fot. z archiwum Autora, repr. Gabor Lőrinczy.

czarno-białej, określane jako holenderskie. Ale dopiero przed drugą wojną światową w okolicach Będkowa przeważały wyraźnie krowy o maści czarno-białej. Bardzo rzadko trafiały się czerwone. Pochodziły one z dalszych okolic, na przykład z Kieleckiego.

Chłopi z czasów Reymonta hodowali „swojskie” krowy różnej maści: „[...] i ciągnęła za sobą na postonku dużą czerwoną krowę [...] stada krów srokatek pasty się na ugorach [...] kilka kobiet radziło i wydziwiała nad ogromną czerwono-białą krową [...] Granula, biedota, granula! [...] spędzano bydło z pastwisk co ciżbą szło drogami w tumanach kurzawy, że tylko raz wraz wychylały się z niej głowy potężne i rogi krzacaste”.

Ta różnorodność sylwetek i maści krów utkwiała mi dobrze w pamięci z pasania w okresie międzywojennym. Ale wówczas prowadzono na wsi usilną pracę hodowlaną przez kółka rolnicze i początkowo wprowadzano do hodowli bydło czerwone. Świadectwem takiego działania jeszcze w pierwszych latach obecnego stulecia są dane zaczerpnięte z pracy Błażeja Stolarskiego. To on hodował w Reymontowskiej okolicy polskie bydło zarodowe rasy czerwonej — uzyskiwał nawet medale na krajowych wystawach. W latach powojennych szczególną rolę w rozwoju hodowli bydła nizinnoczerwono-białego odegrała państwowa ferma rolnicza i szkoła rolnicza w Czarnocinie. Dyrektorem fermy był późniejszy, długoletni, minister rolnictwa — Juliusz Poniatowski. W szerzeniu wiedzy hodowlanej jeszcze przed pierwszą wojną światową nie brakowało także księdza! Ksiądz Izidor Kowalski w nadzwyczajny, umiejętny sposób, nawet kazaniem i przykładami, przyczynił się do rozwoju nie tylko hodowli, ale także rolnictwa i oświaty na wsi. Namawiał także biedniejszych chłopów do używania krów jako siły pociągowej; chciał rugować konie, które przecież zjadały dorobek gospodarstw. Jakże ciekawie wyglądały wyjazdy księdza Kowalskiego bryczką, którą ciągnęły krowy! Mimo ogromnego autorytetu proboszcza żaden z chłopów nie dał się skusić na tego rodzaju praktyki. Nadal królują konie, nawet w gospodarstwach zmechanizowanych.

Bydło hodowane przez chłopów pod koniec XIX i na początku XX wieku było mało wydajne. Hodowa-

stko widzieli jeszcze za bytlem... — rzekła poważnie stara Wawronowa — a bo to nie bacz, coście wyprawiali na pastwiskach [...]”. Nieodłącznym atrybutem kulturalnego życia na pastwisku były — poza bajkami i opowiadaniem — śpiewy. Szkołę wiejskiego śpiewu stanowiły późna jesień i zimowe wieczory z kąpielą i pirowką, a w okresie letnim — pastwiska: „[...] ze śpiewami, a przykrzykami wesołymi spędzano bydło z pastwisk [...] jakaś dziewczyna gnała maciotę z prosiętami i śpiewała cieniem głosem”.

Z ciekawostek dotyczących hodowli bydła należy przypomnieć — zarzucony już obecnie — sposób zimowego żywienia. Oprócz siana i słomy podawano krowom picie. Wielokrotnie o tym pisze Reymont: „Zastala Nastusie przy krowie chlipkcej z cebratki. [...] i wsadzały żartownie ryje do cebratek, gdzie stało picie dla bydła”. W cebratki — naczynia z klepek drewnianych, mieszczące kilka wiader płynu — wlewano odpady kuchenne lub też „picie” z ugotowanych obierek i resztek ziemniaków; niekiedy dodawano trochę wywaru z gotowanych ziaren zbóż: „[...] jeno pacanie przebieganych ziemniaków słyszał było, że to drobne musiały na jedną kupę, a nadbutwiał na drugą. [...] Będzie czym podpaść maciotę i la krów też starczy na picie. [...] i wynosiła z Pietrkiem cebratki z picim dla krów”.

W XIX wieku w Europie, wskutek rozwoju przemysłu tekstylnego, dynamicznie rozwinęła się hodowla owiec. Sprzyjały jej w Polsce także liczne odłogi i ugory, jakie występowały przy panującej wówczas trójpólności. Owczarstwo nie wymagało również znaczących nakładów inwestycyjnych. Wyrazem wykorzystania sprzyjającej sytuacji są informacje o istnieniu w Piotrkowskiem, Rawskim, Łowickim i Łęczyckim — znanych w całym kraju — hodowli owiec. Na przykład w Małuszynie (powiat piotrkowski) w roku 1858 istniało stado liczące 6000 owiec zarodowych, a w Kociolkach (ten sam powiat) w roku 1874 została założona hodowla negrettów. O znacznym zainteresowaniu tą hodowlą świadczy także, zorganizowana w 1868 r., wystawa owiec w Warszawie. W Łowickiem bogatsi chłopcy dochowali się rasy uszlachetnionej, nazywanej „kraistą”. Tradycje owczarskie w regionie pozostały do



Zona wciąż jeszcze pracowała na Pomorzu. Nie mogłem jej sprowadzić, bo nie miałem własnego mieszkania. Kopalnie dawały mieszkanie takim, którzy rokowali pozostanie w górnictwie, a ja jeszcze nie zdałem egzaminu z tej pracy. Zona doniosła mi, że przyszła do niej moja matka z dwoma kilogramami ziemniaków i oferowała pomoc. Zona nie wzięła nic. Zalać ją mi list od matki: „Droga synka. Napisz mi ty taka oświadczenia, że ty niewinna siedzaw w więzieniu, bo mego Witka szykanują co ty kryminalista i pewnia nie ukończy studia, jak ty toga nie napiszesz”.

Na początku listopada 1954 r. otrzymałem mieszkanie. Sprowadziłem żonę. Od nowa zakładaliśmy życie. Spaliśmy na podłodze. Nie mieliśmy niczego. Ale cieszyliśmy się bardzo, że znów jesteśmy razem. Ale jak się komuś nie klei, to nie klei. Uderzenie strumienia wody spowodowało u mnie uszkodzenie błony bębenkowej w obu uszach. Czulem zawroty głowy, lała mi się krew z uszu i nosa. Dostałem zwolnienie lekarskie.

Kierownik oddziału ani słyszeć nie chciał o wypadku przy pracy. Prosił, abym go nie zgłaszał: — Powiedz, żeś przyszedł do pracy już chory, ja ci wynagrodzę. Lekarz zapisze w kartotece chorobowej: niezdolny do pracy dołowej, na rentę.

Jak usłyszałem, że mam otrzymać rentę, rozplakałem się w przy-

potem wyszedłem na dwór. Czekalem dość długo. Wreszcie portier upewnił się co do mojej tożsamości i oświadczył: — Ma pan syna! Dalem mu dwadzieścia złotych, przestałem rózę i bombonierkę siostrą.

Koleczy z pracy dowiedzieli się o narodzinach syna. Wszyscy mi gratulowali, a po pracy posłaliśmy całą brygadę do knajpy.

Nowy przychód w domu, nowe wydatki. Kupiliśmy wózek, trzeba było pomyśleć o chrzcinach. Na chrzestnego wybraliśmy mego kolegę robotnika, kawalera jeszcze. Zaprosiliśmy bliskich i rodzinę. Przyjechała teściowa, przyszli szumnie koleczy z pracy i sąsiedzi.

W roku 1956 zaszły zmiany w naszym kraju. Potwierdziły one, że nie może być państwa w państwie, że ład społeczny i bezpieczeństwo każdego leży na sercu kierownictwa partii i rządu, że posłaliśmy drogą niewłaściwą, zbaczając coś niecoś z kursu. Zaczęto już głośno mówić, że górnik i robotnik, to nie maszyny robocze lecz ludzie, którzy też mają prawo do odpoczynku i regeneracji sił.

Jesienią dostałem list od siostry, że szwagier, porucznik UB, został zwolniony z pracy. Otrzymał zaświadczenie, że był szwecem. Nareszcie ukarano go, jak należy. Napisałem to siostrze. Oburzyła się i zapłaciła mi radością z faktu, że doznałem tych wielkich przykrości i że oni się przyczynili do tego. A

było wozic zaprawę i cegły z powierzchni. Tej nocy było więcej wody w szybie. Zdawało się, że dach dziurawy przecieka. Nie pomyliliśmy się. Około pierwszej w nocy coś zatrzeszczało w szybie, potem posypały się cegły z mulem. Mielśmy daszek ochronny nad klatką szybową i chroniły nas dwa pomosty bezpieczeństwa. Lunęła woda, — jak z wodospadu. Światła nie widzieliśmy.

Na sześciu metrach można było załogę powiadomić telefonicznie, ale na trzystu — nie mieli telefonu. Trzeba było biec chodnikiem 1500 metrów w jedną stronę. Sprawdziliśmy pompy. Ustawiliśmy na maksymalną pracę. Zależało nam, by światło przekopu, które miało kształt leja odprowadzającego zużyte powietrze kopalni, nie zostało zalane wodą. Na trzystu metrach pożegnałem się z kolegą. Rozebrałem się do kąpielówek i pobiegłem, cały czas myśląc o tym, aby ci na górze nie opuszczali wozów z urobkiem, bo nie miałbym ratunku. Przybiegłem pod szyb 10 strasznie zmęczony. Maszynista szybowy jak mnie zobaczył, przestraszył się i zamiarował uciekać.

— Nigdzie, kochasiu, nie uciekiesz! Najpierw wyciągniesz klatkę górników tam pracujących. Jak nie zastosujesz się, to przy szybie dostaniesz siekiera! Leb ci szybowy urąbie za pozostawienie towarzyszy bez udzielenia pomocy.

Szybko ochłonął. Zjechałem klat-

kontakty kontaktów

13

KONTAKTY
29.XI.1981

Nawiązując do artykułu pt. „Gorycz z samowara” („Kontakty” nr 44) wyjaśniam panu Waldemarowi Samordakowi:

Szanowny Panie Waldemarze, sługa ze mnie w tej chwili nie-użyteczny. Com winien był spełnić — spełniłem. Wydaje mi się, że szkoła jest tyle Panu winna, ile Pan szkole. Żali się Pan, że los tak łaskawy dla innych, jest zawsze okrutny dla Niego. Stąd chyba wniosek, że rzadko troszczy się Pan o innych. Nie może Pan żyć w przyjaźni z innymi, ale jest przekonany, że to z ich winy. Tak są nierozumni, powiada Pan, że wy-czerpaliby cierpliwość świętego. Wszyscy w tej szkole sprzysięgliśmy się przeciw Panu, gdyż nie chcemy widzieć rzeczy, jak Pan je widzi. Rozumie się, że w tej sytuacji Pan ma słuszość, a zatem — wszyscy inni się mylą.

Zdaniem Pana, cały moralny i fizyczny świat wyszedł z karbów. Pan chciałby przywołać go do porządku. Cóż kiedy świat nie chce się na to zgodzić. Niech więc Pan weźmie do serca radę „starego”, życziwego Panu człowieka.

„Kto bez ustanku o swych czynach krzyczy
Ten rozumu zbyt wiele w swej głowie nie liczy.
Bo kto twórczy naprawdę,
cichym bywa w słowie
Wielki człowiek li w czynach
swą wielkość wypowie”.

W przeciwnym przypadku, pomimo Pańskiego niewątpliwego talentu muzycznego, może Pan zyskać miano człowieka, który zaczął budować, ale nie potrafił skończyć. Dopiero wtedy, Panie Waldemarze, sprawi Pan nauczycielom przykrość.

Licząc Pana trofea pozostawione w szkole, naliczyłem jeden gipsowy krążek wiszący w holu szkolnym. Jest w każdej chwili do odebrania przez Pana.

dr WIESŁAW BLASZKO

Chciałbym podzielić się swoimi uwagami dotyczącymi „meldunkowego kołowrotka”, jakiemu poddawani są mieszkańcy osiedli Spółdzielni Mieszkaniowej w Łomży.

Zgłosiłem się do biura ewidencji ludności w Łomży w celu zameldowania osoby opiekującej się moim dzieckiem. Sądziłem, że sprawę załatwię „od ręki”. Tymczasem okazało się, że z drukiem formularza meldunkowego muszę pójść do Spółdzielni Mieszkaniowej w pozycji: „stwierdzam że wyżej wymieniona osoba przebywa pod wskazanym adresem”. Z formularza wynika, że fakt ten powinien stwierdzić właściciel lub najemca lokalu. Na chłopski rozum — wymóg podpisu właściciela dotyczy budynków prywatnych, w przypadku spółdzielczego prawa do lokalu wystarczyć powinno poświadczenie głównego lokatora — najemcy. Wymaganie w tym przypadku podpisu właściciela jest absurdalne, bo przebywanie opiekunki mojego dziecka w zajmowanym przeze mnie lokalu można by stwierdzić jedynie naocznie.

Argumentacji tej nie był w stanie pojąć pracownik Spółdzielni, któremu powierzono załatwianie tych spraw. Mało tego. Dowiedziałem się, że w tej sprawie muszę złożyć podanie do Zarządu Spółdzielni, na którego posiedzeniu sprawa będzie rozpatrzona.

Tak oto, że — zdawałoby się — prostej czynności administracja Spółdzielni uczyniła sobie zajęcie, będące przedmiotem nawet posiedzeń Zarządu. Wiadomo więc dlaczego rozliczne problemy mieszkańców łomżyńskich osiedli wciąż oczekują na rozwiązanie. A swoją drogą, znowu okazuje się, że Parkinson miał rację. Nasuwa się również pytanie, kto będzie nosił karno-administracyjne konsekwencje niedopełnienia czynności meldunkowych? Czy to również Spółdzielnia Mieszkaniowa weźmie na swoje barki?

ALFRED FILIPKOWSKI
Łomża

misjonarz w czerwonym krawacie VII

chodni. Nie przyjąłem renty. Chciałem żyć i być czynny zawodowo. Miałem już swoje górnicze towarzystwo. Odwiedzaliśmy się w swych mieszkaniach, przeważnie z reemigrantami z Francji.

Pragnieniem moim i żony było mieć jeszcze syna w rodzinie do kompletu z dwiema córeczkami. Dzieci były naszą dumą i troską. Rozładowały napięcia, wiązały nasze małżeństwo. Jak miałem wolny czas, zabierałem te maluchy do lasu. Uczylem je poznawać śpiew ptaków, zbierałem maliny, potem grzyby. Odpoczywałem pełną pierśią przy tym. Czasem żona szła z nami, ale rzadko, bo roboty miała masę. Dorabiała szyciem, przeróbką starych rzeczy.

Moja żona zaszła w ciążę. Już nie pracowała zawodowo, bo i po co. Jeżeli wychowa zdrowego człowieka, to pewnie więcej korzyści będzie. Zarabiałem nieźle. Zaczęliśmy odkładać na PKO. Bardzo martwiłem się o nią. Przeżyta wcześniej choroba mogła jej ciąży zaszkodzić, a strasznie pragnęliśmy mieć syna. — Ale co zasiejiesz, to zbierzesz — mawiała żona z uśmiechem.

W trzecią niedzielę października 1955 r. udałem się do szpitala. Jechałem i tak myślałem: „Jeżeli będzie córka, nie dam po sobie poznać niezadowolenia”. Kupiłem różę i czekałem w poczekalni szpitala,

jak przyjdzie okazja, to postaram się, bym nigdy nie wyszedł z więzienia.

Dalej kierowałem zespołem ludzi. Dyrekcja kopalni też miała do mnie zaufanie. Zdrowie mi się polepszyło. Na początku 1957 r. poprosiłem o przeniesienie na dół. Tyle się o górnictwie pisało. Karta Górnika dawała wielkie przywileje. Więc chciałem znaleźć się na wielkich tablicach przodowników pracy kopalni. Zona mi odradzała, ale możliwość większego zarobku i awansu była wielką pokusą. Zostałem przyjęty. Zaraz skierowano mnie na kurs górników szybowych. Zaczęłem zarabiać dobrze, tak że żona nie musiała pracować. Zresztą sama wołała opiekować się dziećmi.

W 1957 r. na Barburkę dostałem mundur górniczy i stopień z Karty Górnika. Tyle radości było w naszej rodzinie. Wszystko zawdzięczałem żonie. Ona była tam cichym bohaterem dnia codziennego, bo dawała mi ciepło i otuchę.

Taką pracę miałem, że nigdy nie byłem pewny, czy wrócę. Wielu górników zginęło przez swoją brawurę i nierozważne podejście do pracy. Ja byłem ostrożny. Nie chciałem za nic w świecie osierocać dzieci.

Pewnego dnia poszedłem na nocną zmianę. Górnicy zjechali do swych przodków, ja z szybowym miałem zamurować wyrwę w szybie. Pracowaliśmy długo, bo trzeba

ka jeszcze 100 metrów. Znowu pobiegłem przekopem. Jak tam dobiegłem, górnicy przywitani mnie ze śmiechem. — Co, Edek, biegi uprawiasz?

Powiedziałem sztygarowi, co i jak. Mina rzędziała wszystkim. Po układali szybkoitko narzędzia do klatki szybowej. Wyjechaliśmy i wszyscy pobiegliśmy na dół przekopem, by zdążyć przed naborem wody.

Pod szybem stał nasz szybowy. Nie mógł się z nikim telefonicznie porozumieć. Szum wody nie dawał się przekrzyczeć. Strach było wejść do klatki szybowej. Kilku siłą wepchnęliśmy i daliśmy do góry sygnał. Tak kolejno wyjeżdżaliśmy. My z szybowym wyjechaliśmy ostatni. Wreszcie ujrzeliśmy gwiazdy.

Koleczy poszli do domów. My musieliśmy zostać. Kiedy byłem już umyty, przyjechała ekipa ratownicza i przedstawiciele ze Zjednoczenia Górnictwa oraz Komitetu partii. Musiałem rozebrać się, wskakiwać w mokre ciuchy, zjeżdżać na dół i pokazywać wyrwy — przeżywać ponownie strach.

Kiedy przyszedłem do domu, było już południe. Żona z troską patrzyła na mnie. Dopiero teraz poczułem się źle. W uszach mi boleśnie zagrało, temperatura skoczyła do 39 stopni. Zachorowałem na dobre.

EDWARD APANEL

Rys. Stanisława Kędzielskiego





**fotografie:
Gabor Lörinczy**

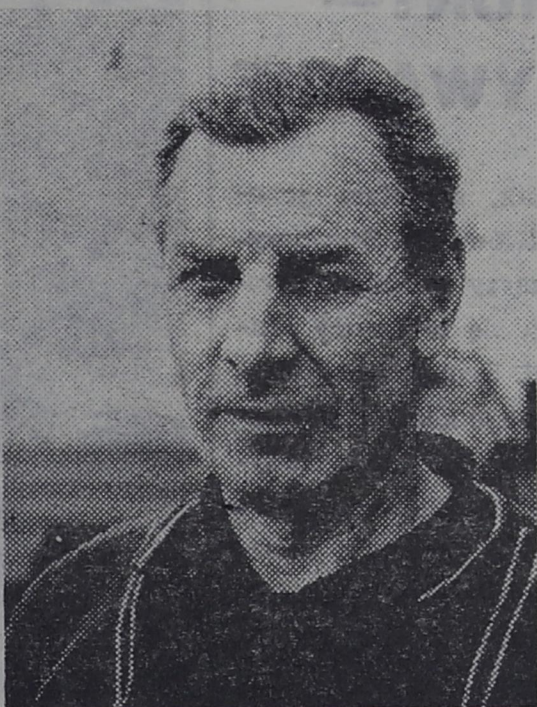


Uroczyste obchody 63 rocznicy odzyskania niepodległości zorganizowali w Łomży – Towarzystwo Przyjaciół Ziemi Łomżyńskiej, NSZZ „Solidarność” i Komenda Hufca ZHP. 11 listopada mogiły bojowników o wolność i niepodległość pokryły wieńce i kwiaty, które złożyli przedstawiciele społeczno-politycznych organizacji i zakładów pracy. W miejscu, gdzie przed laty zginął w walce z Niemcami Leon Kaliwoda, dowódca 10 Brygady POW, ponownie została wmurowana tablica upamiętniająca tę bohaterską śmierć. W kościele katedralnym, na mszy świętej celebrowanej w intencji niepodległej ojczyzny, ks. biskup ordynariusz – Mikołaj Sasinowski wygłosił homilię. Powiedział m.in., że teraz należy zrobić wszystko, by już nigdy więcej nie dopuścić do wystawiania na żadną próbę naszej niepodległości i suwerenności. Po zakończeniu mszy, na której poświęcono sztandar NSZZ „Solidarność” Region MAZOWSZE Oddział w Łomży – uroczysta procesja towarzyszyła mu aż do siedziby władz związku. Wieczorem montaż słowno-muzyczny w wykonaniu artystów scen warszawskich zakończył obchody rocznicowe.

aza



w 63 rocznicę



muje się tylko swoim drugim domem i marzy, aby jak najprędzej zostały zakończone prace budowlano-wykonawcze w Jej przedszkolu, z którego chciałaby uczynić prawdziwe miejsce radości, zabawy i nauki dla wszystkich maluszków.

STANISŁAW KUŹNICKI z Piątnicy, który w bieżącym roku świętuje trzydziestopięciolecie pracy uważa, że stolarstwo jest jego rodzinnym zawodem, choć sam, mimo że ukończył Szkołę Przemysłu Drzewnego, nie od razu zaczął pracować w wyuczonym zawodzie. Od 1949 roku był instruktorem rolnym w Komitecie Powiatowym ZSL, później referentem kontraktacji i ochrony rynku w Centrali Mięsnej w Łomży. Dopiero w 70 roku na dobre związał się ze swoim fachem. Obecnie pracuje na samodzielnym stanowisku stolarza w łomżyńskim POM-ie. Wzorowo wykonuje swoje obowiązki — przyznano mu Złotą Odznakę Zasłużonego Pracownika POM-u.

Lomżyńska Orkiestra Kameralna — koncert w kościele katedralnym w Łomży, 29 XI, godz. 16.40 i 19.40. Dyryguje Henryk Szewdo. Soliści: Alicja Marczak-Faberowa — śpiew. W programie: Antonio Vivaldi — „Longe Mala Umbræ Terrores Motet” i „Sabat Mater”; Johann Sebastian Bach — Suita D-dur.

32-44 — dyżurująca apteka, ul. Giel-
czyńska 1.
997 — Milicja Obywatelska
34-61 (do 85) — Pogotowie Energetycz-
ne.
999 — Pogotowie Ratunkowe
998 — Straż Pożarna.
Pogotowie Chirurgiczne, ul. Marii Skło-
dowskiej-Curie 1. Czynne całą dobę.
Dyżury stacji obsługi motoryzacyjnej
w dni wolne od pracy: 21 XI — ASO
„Polmozyt” w Łomży, Szosa do Męże-
nina, tel. 52-61 (i 62); 22 XI — Pomoc dro-
gowa w Łomży, ul. Rybaki 7, tel. 33-43

Już w najbliższy piątek (27 XI godz. 16.30 w kinie „Październik”) „Starcia” – Klub Dyskusyjny „Kontaktów” wspólnie z WOKI – zapraszają na kolejną dyskusję panelową pn. „Tolerancja współcześnie”.

W programie:

– premiera rewelacyjnego filmu „Chłopi-81” (wiejski odpowiednik „Robotników 80”);

— panel prowadzony przez red. Klemensa Krzyżagórskiego („Prasa Polska”) z udziałem wybitnych przedstawicieli środowiska łomżyńskiego: prof. Stanisława Ehrlicha, prof. Henryka Jankowskiego, ks. prof. Antoniego Boszko, Kazimierza Długosza („Nowa Wieś”), Edwarda Redlińskiego (pisarz), dra Mieczysława Krajewskiego (Wydział Prasy, Radia i Telewizji KC PZPR), Zbigniewa Siedleckiego (publicysta) oraz Mirosławy Kruszewskiej i Lecha Koziola.

PUNKT WIDZENIA

jestem za...

MARIAN MIESZKOWSKI, przewodniczący Wojewódzkiego Komitetu Stronnictwa Demokratycznego w Łodzi:

— Jestem zdecydowanie za po-
wstaniem Frontu Porozumienia Na-
rodowego. Takie jest stanowisko
Stronnictwa Demokratycznego i ta-
ki jest również mój osobisty, auten-
tyczny pogląd. Uważam, że trzeba
jak najszybciej zespelić ludzi ze
wszystkich środowisk i o różnych
poglądach, którzy są za socjalizmem
i poszanowaniem Konstytucji. Nie
można pozwolić na dalsze pogłę-
bianie totalnego bałaganu w kraju.
Otwarcie na porozumienie, wyraź-
nie zaznaczone przez V Plenum KC
PZPR, cieszy i daje wiele nadziei.
Widąc zresztą początek konkretnych
działań: powołanie przewodniczące-
go CK SD, Edwarda Kowalczyka na
wicepremiera i większy liczebnie ud-
ział Stronnictwa w rządzie, w po-
szczególnych resortach. Mamy tam
jedenastu przedstawicieli.

Olbrzymim krokiem naprzód było spotkanie „wielkiej trójki”: Wojciecha Jaruzelskiego, Józefa Glempa i Lecha Wałęsy. Chociaż — przy okazji należy zapytać — dlaczego nie był to „szczyt wielkiej piątki”; zabrakło SD ZSL. Myślę, że następne uwzględnią i te siły polityczno-społeczne.

Konsolidacyjne tendencje obserwujemy już i w województwie. WK SD rozpoczął starania, by porozumienia zawarto w pierwszej kolejności „na dole”. Byliśmy wówczas zdania, że jeżeli w całym kraju uda się doprowadzić do oddolnych porozumień, rząd będzie musiał ów stan zaakceptować. Było już spotkanie trzech partii; następne obejmą wszystkie związki zawodowe oraz środowiska kościelne. Poza tym, czy nie powinniśmy przenieść założeń FPN również na płaszczynę wojewódzkiego zarządzania? W Łomżyńskim jest po temu szczególna okazja: odeszło dwu wicewojewodów. Dotychczas funkcje czterech wojewodów dzielono: trzy stanowiska dla PZPR, jedno dla ZSL. Czas najwyższy, żeby „porozumienie” oznaczało otwarcie drogi do tych stanowisk członkom SD, środowisku katolickiemu i bezpartyjnym.

[illegible]

КОНТАКТЫ

PIEKIELKO PRZEDSTAWIA DRAMAT ADMINISTRACYJNY DIABELSKIE OBRACHUNKI

Nika już dzisiaj niczego nie pamięta. Ani win, ani grzechów niczych, ani zasług lub innych tego rodzaju dyrdymalek. Skąd więc Czytelnicy mogą pamiętać, co ostatnio robiły cztery nasze znajome diabły, ob. ob. Biebrzański, Dojliski, Narwiański i Buzański? Nazwiska podajemy bez zachowania obowiązującej jeszcze do niedawna kolejności. Ostatnio bowiem w ogóle nie już nie obowiązują. Nawet zdrowy rozsądek, którego, nawiasem mówiąc, koledzy diabolicznie nigdy nie mieli.

DOJLICKI: Ludzie! To jest, chciałem powiedzieć, diabły! Może byśmy stworzyli wreszcie jakiś front?

BUZAŃSKI: A jaki to, mianowicie?

DOJLICKI: Wspólny oczywiście. NARWIAŃSKI: Ośmielę się przypomnieć szanownym kolegom, że front nie może być wspólny. Znaczenie tego słowa zakłada istnienie linii, która frontem może być dopiero wtedy, kiedy po obu jej stronach stoją wrogie sobie siły.

BIEBRZAŃSKI: Nie bądźcie, kolego, taki lingwista. Języki jakiegoś znacze? Otóż, za przeproszeniem...

NARWIAŃSKI: Za przeproszeniem, uprzejmie proszę, bez przeproszenia. Nie będziecie mi tu rozkazywać, jakie mam znać języki!

BIEBRZAŃSKI: Ja wam niczego

nie rozkazuję, jedynie tylko, wyłączając radzę. Są, rozumiecie, wiecie, pojmujecie, takie otóż...

BUZAŃSKI: Koledzy współnifrontowcy! Zostawmy diabłowi, co diabelskie, a lingwistom, co lingwistyczne. Zajmijmy się wreszcie diabelskonarodowymi sprawami. Otóż, jak wam z pewnością nie jest wiadomo, diabły dzisiaj stoją. Świński półdupkę być może zadecyduje o przyszłości naszego diabelskiego kraju. Te i owe środki półmasowego przekazu nadeły wieprzom należną im rangę. Stało się wreszcie to, co stać się już od dawna powinno. Już wiemy, kim jesteśmy...

NARWIAŃSKI: Za przeproszeniem! Ja tam wcale nie jestem taki, jak się, temu czy owemu, wydaje. Świnia jest dla mnie niczym i nikim. Osobiście wolę barany. Baranina otóż...

BUZAŃSKI: O, do diabła! A kto mianowicie, wymyślił, żeby na dywanach, lodówkach, telewizorach, pralkach umieszczać podobizny tuczonych wieprzaków?

DOJLICKI: Koledzy! Upraszam o wysłuchanie mojego osobistego zdania, które mianowicie jest takie: porozumienie tak czy owak będzie, bez względu na nasze osobiste animozje lub inne moze i tak dalej. Czy się komuś tam podoba, czy nie. Krótko mówiąc, front będzie. A my starym frontowym zwyczajem weźmy się i okopmy w okopach diabelskiej czwórki.

BIEBRZAŃSKI: Niechaj tako się i stanie. Howgh!

BUZAŃSKI: Jes.

NARWIAŃSKI: He? Czegoś nie panimaju

WIESŁAW TOMASZEWSKI



Mysle, więc jestem. Anonimowy obraz ludowego malarza.

Reprodukcja Piotr Sawicki jr

Sennik

— przepowiednie niechybne

HYCLA WIDZIEĆ

Heblować — zakończenie interesów
Helm — odznaczenie
Herb — zaszczyt i honory
Herbatę pić — słabość i choroba
Hersztą zbójów widzieć — sława;
zabić go — niebezpieczeństwo
Historię prawie — zmiana losu; słuchać — kłopoty
Hoid otrzymać — niepowodzenie
Honoru się pozbawić — wesołe życie
Hufać — smutek i niepowodzenie
Hustać się — pomyślny rozwój inte-

resów
Husta szklana — nierozważne przedsięwzięcie
Hyla widzieć — zawrzesz przyjaźń
Huk słyszeć — przyjemność
Iglica — ominięcie niebezpieczeństwa
Iglę nawlekać — niepowodzenie; znaleźć ją lub szukać — ubóstwo
Ikra — zwiększenie się rodziny
Iluminacja — miłe zdarzenie domowe
Imieniny wyprawiać — dobre stosunki; być na imieninach — kłopot
Indyk — napaść głupiego człowieka
Instrumenty muzyczne — powodzenie w pracy
Izba sądowa — kłopoty; izba pusta — utrapienie

STRASZYDŁA DEMONY— PRZYBYWAJCIE

Jacek Ratajczak, sekretarz generalny Zarządu Głównego Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, przekazał rodzącemu się w Łomży Muzeum Straszdy, Demonów i Niesamowitości tęczowego koguta, wypisz-wymaluj takiego, na jakim siadywał Twardowski; kogut ten — z przetrąconą szyjką, główką i zniszczonym w pojedynkach grzebieniem — nie dał się oswoić nawet sekretarzom generalnym.



JAK ASMODEUSZ CHCIAŁ WRÓCIĆ DO PIEKŁA

Już długo bawił Asmodeusz w chacie Maksyma. Byłby tam trwał jeszcze przez lata, lecz drażył go niepokój o własne stanowisko piekielne. Zanim się jeszcze wybrał do Maryny, aby spełnić się warunki umowy spisanej z chłopem, która obiecywała, że dziewczyna nie tylko przyjdzie, ale i zostanie z Maksymem, już przywilejów członka Zarządu Piekła zazdrościł mu — o 1500 lat młodszy, 650-letni — Eroptus. Kto wie, czy teraz nie wykorzysta okazji, a on, Asmodeusz, zasłużony, choć już i nieco skostniały w metodach, będzie musiał — miast decydować — wykonywać polecenia. Już i tak wielokrotnie hamował ambicjonalne zapędy Eroptusa i przekabacał Radę Piekielną na swoją stronę, bo młody konkurent celował w oryginalnych pomysłach, a przy tym przejawiał ogromną wolę działania. Słaby był w mowie, którą od stuleci posługiwali się członkowie Rady oraz większość Zarządu piekielnego. Wyrażał się nadto jasno i zwięźle, więc nie dziwnego, że zaprawiony w wystąpieniach własnych i doświadczony na perorach kolegów Asmodeusz pod tym względem górował. Umiał czarować zawitymi frazesami, nafaszerowanymi — jak nazywają klejnotami — całym bogactwem słów, jakie przez wsze czasy prominentom piekielnym udało się wymyślić podczas tworzenia coraz bardziej abstrakcyjnych taktyk, nie mających prawie żadnego zastosowania w praktyce pozyskiwania dusz, a jeśli już, to małych i nikczemnych. Ta wysokodiabelska nomenklatura narobiła takiego zamieszania w dokumentacji, że nawet rzadko który prominent piekielny pamiętał, jak powinien wyglądać prawdziwy cyrograf, i często sam padał ofiarą przebiegłości człowieka lub musiał płacić własnym poświęceniem, jak to uczynił Asmodeusz w przypadku umowy z Maksymem.

Tak więc czas był wracać na posadę, zważywszy wyluszczone tu fakty, lecz sprawa nie przedstawiała się łatwo. Otóż aby zlikwidować swobodną migrację diabłów z Piekła na Ziemię i odwrotnie, a przy okazji pozbyć się kilkuset konkurentów — Rada Piekielna ustanowiła następujący przepis: „Jeśli ktoś z rodu czaricię, po dobrowolnym udaniu się między ludzi, zechce powrócić w pielesze, musi na własnej skórze poczuć wodę święconą, której człowiek

użyje przeciw niemu dla popędzenia go z Ziemi”.

Złorzeczył teraz Asmodeusz temu wymysłowi, choć przecież sam pod nim podpisał, ale jednak musiał się mu podporządkować. Maksym, go nie wyświecił, bo stracił Marynę, a on — duszę chłopca. Naraził się duchownemu przepis zakazywał, bo taki proboszcz i wodę ma pod ręką, i do prześwieceń skory. Należało się zatem tak przysłużyć zwykłemu śmiertelnikowi, aby nie tylko przekleństwami rzucał, ale i wody święconej zmuszony był szukać. A przy tym dokuczyć mu w swojej dziedzinie, bo za przekraczanie kompetencji Piekło gotowe było nie uwzględnić starań o powrót.

— Marynie się w naturalnej postaci objawić? Nie, ona już nigdy do chaty Maksyma, jako przeklętej, nie wróci. W ogóle z babami nigdy nie wiadomo; nie dość że swoich chłopów diabłami nazywają, to na dokładkę nigdy nie wiesz, czy im krzywdę, czy też przysługę czynisz. Tfu, diabelski pomysł! Trzeba się dopiąć do jakiegoś pijacka i pozwozić go różnymi pokusami nieco.

Asmodeusz mógłby z pewnością mniej czasochłonny obiekt wybrać i prostszą drogą cel uzyskać, ale to wielowiekowe zasiadanie w Radzie Piekielnej zrobiło swoje; wikłanie się w pozory, aby tylko nie korzystać z prostych metod, stało się jego sposobem bycia.

Kiedy chłopcy nocą opuszczali bar, Asmodeusz — pod postacią ukoronowanego panka — przysiadł się na furmance do pijanego Karamaza z sąsiedniej wsi, a że ten się kiwał, przejął uprzejmie lejce z jego rąk i popędził konie na przelaj. Nad rzeką wyczarował zamtuz, po czym sam zamienił się w hurysę. Chłop dwa razy spadł z szerokiego łóża, a po trzecim upadku już nie podniósł się z puszystego dywana.

Wściekły Asmodeusz rozproszył bogatą komnatę i zostawił chłopca na trawie, a konia mu przepłoszył, po czym wrócił do chaty Maksyma. I tak siedzi dotąd, bowiem jego koncept tak na wysokich urządach skapniał, a pamięć stętyczyła, iż zapominał nawet o tym, co wykorzystwał nad rzeką: o umiejętności posługiwania się czarną magią.

Siedzi więc Asmodeusz w chacie Maksyma i duma, Eroptus uprawniał pełnych jeszcze nie uzyskał, a biedni ludzie wyjął po nocach wobec tragicznego kryzysu pokus. (zel)



POKUSY

Andrzeja Koziary

POKUSY

pod redakcją

POKUSY

organ samoistny

POKUSY